

KAMENIA

BIULETYN UMCS LUBLIN

LUBLIN

15.VI.1964

Nr 11 (297)

ROK XXXI

CENA 2 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN - BIAŁYSTOK - KIELCE - RZESZÓW

IDŹMY DALEJ PO TEJ DRODZE

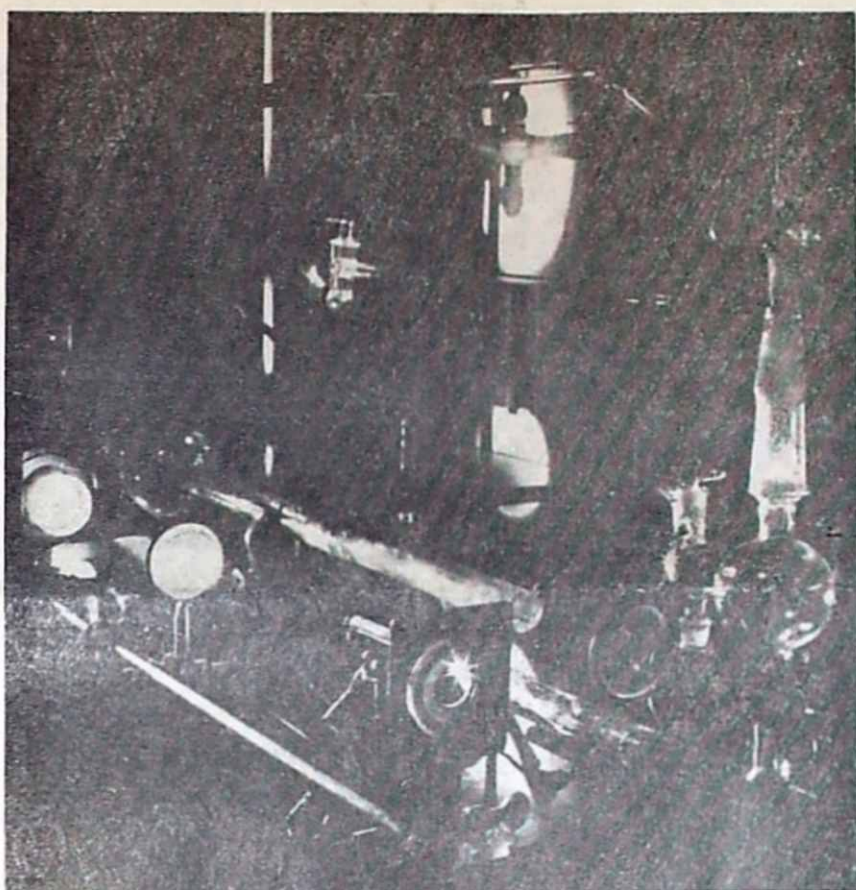
DO rozpoczynającego się dziś IV Zjazdu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej społeczeństwo Ziemi Lubelskiej przygotowało się wyjątkowo starannie. Na terenie naszego województwa odbyło się 17 000 zebrań i dyskusji nad tezami przedzjazdowymi, przy czym organizatorem była nie tylko Partia (6 500 zebrań), ale i koła ZSL, SD, komitety FJN, organizacje związkowe, kobiece i młodzieżowe. Trzeba jeszcze do tego dodać około 1000 środowiskowych narad aktywu partyjnego, jak również bezpartyjnych działaczy gospodarczych i społecznych. O głębokim zrozumieniu tez zjazdowych świadczy fakt masowego podejmowania czynów produkcyjnych przez społeczeństwo, które widzi w nich najgodniejszą formę uczczenia święta Partii, jak i XX-lecia Polski Ludowej. Wartość podjętych przez przedsiębiorstwa zobowiązań osiągnęła cyfrę 200 000 000 zł, na wsi zaś czyn przedzjazdowy wyraził się jeszcze wyższą sumą — 350 000 000 zł.

Tyle mówią cyfry, ale trudno na nich poprzestać. Są przecież zjawiska, których nie da się zmierzyć i wycenić. Do nich przede wszystkim należy zaliczyć podnoszenie się świadomości naszego społeczeństwa, jego cementowanie się i chęć walki ze wszystkim, co staje na drodze postępowi. Dyskusje przedzjazdowe wydobły właśnie i ten moment, wskazując na drogę, jaką przeszedł naród polski od roku 1944 do dzisiaj. Nie można przecież zapominać o tym, że start był nie dla wszystkich jednakowy. Niewątpliwie wielu było ludzi szczerze oddanych nowej rzeczywistości, ale zwłaszcza w pierwszych latach nie brakowało i takich, którzy woleli przyglądać się z daleka, a nawet przeszkadzać. Czas, ten najlepszy lekarz, i tym razem okazał się niezawodny. Nowe porwało obojętnych, zmusiło do poddania się przeciwników, z których wielu zresztą chyłkiem, czasem nawet nieświadomie, krok za krokiem zaczęło przechodzić na nasze pozycje.

Należy również pamiętać i o tym, że na dorobek Polski w okresie ostatnich lat dwudziestu składa się praca przynajmniej dwóch pokoleń. W budowaniu nowego ustroju, nowej rzeczywistości brali udział ludzie, którzy dobrze pamiętają Polskę lat międzywojennych. Porównanie tego, co istniało do roku 1939 — z tym, co rodzilo się po roku 1944, było niewątpliwie silnym bodźcem i argumentem pozwalającym na szybsze włączenie się do walki o zbudowanie Polski Ludowej.

W tym ogromnym dziele ma również udział i młodsze pokolenie, a więc ci, których dzieciństwo przypadło bądź już na ostatnie lata istnienia Polski sanacyjnej, bądź też na okres wojny. Dla nich wiedza o Polsce przedwrześ-

(Dokończenie na str. 2)



Z wystawy Marka Holzmana w Lublinie: z cyklu „Nauka”

REFORMA STUDIÓW WYŻSZYCH

EMANUEL ISERZON

ORGANIZUJĄC w 1945 r. studia prawnicze oglądaliśmy się na projekt reformy przygotowany u nas w latach 1937—1938, projekt niewiele odbiegający od XIX-wiecznych wzorów. Ale już w 1946 r. został opracowany program wyższych studiów prawniczych pod znakiem zaśmiałych przemian społecznych i politycznych. Od tego czasu dokonano pięciokrotnie zmian i reform w organizacji wydziału prawa (Henryk Kempisty: „O właściwy profil i program studiów prawniczych”, „Prawo i Życie”, 1964, nr 11). A oto dziś znów mamy na warsztacie kolejną „reformę” — w stadium dyskusji „środowiskowej”.

I znów — jak przed dwoma laty po ostatniej reformie wprowadzonej w życie — mamy prawo zapytać: „Reforma studiów czy reforma „siatki” (E. Iserzon, „Prawo i Życie” 1962, nr 26)? Skąd ta nieustająca niepewność i jałowa ostrożność — skoro zdaje się być jasne, że w dziedzinie szkolnictwa wyższego potrzebna jest nie zmiana „siatki”, ale „lepszą organizacją procesu dydaktyczno-wychowawczego, nowatorstwo w metodach dydaktycznych i w organizacji pracy studenta” (przemówienie Władysława Gomułki na akademii jubileuszowej UJ w dniu 13 maja br.).

Nie zamierzam mówić o sprawach, na których się nie znam — jakby można było sądzić na podstawie tytułu niniejszego artykułu. Poniższe uwagi dotyczą bezpośrednio tylko reformy studiów na wydziałach prawa. Wiadomo mi jednak, że podstawowe bolączki dydaktyczne na tych wydziałach są podobne do bolączek nauczania na innych wydziałach szkół wyższych i to nie tylko humanistycznych. Przekonuje nas o tym niedawno ogłoszony artykuł Stanisława Kończykowskiego, długoletniego (od 1922) profesora Politechniki Warszawskiej i Politechniki Łódzkiej („Polityka”, 1964, nr 20). „Metody nauczania na wyższych uczelniach technicznych, politechnikach — pisze Stanisław Kończykowski — nie uległy w Polsce od czasów przedwojennych niemal żadnym zmianom”. To samo powieździeć można o wydziałach prawa — pomijając oczywiście zmiany „siatki”. Podstawowej przyczyny zła dopatruje się Stanisław Kończykowski w przeciężeniu wydziałów politechnicznych. To samo powieździeć należy — o czym mowa będzie później — o wydziałach prawa.

Do rozważenia sprawy radykalnej reformy wyższych studiów prawniczych zmusza nas niewesoły fakt ma-

(Dokończenie na str. 9)

Narodziła się we wsi Krasne

EDWARD SUCHORA

WOKOPACH frontowych ścierały się dwie siły militarne. Wojna sięgała głęboko w codzienne życie zarówno na froncie, jak i daleko na tyłach. Na froncie wschodnim ścierały się także dwa światopoglądy, wartości moralne oraz pojęcia społeczne o przyszłości narodów. Warunki społeczno-polityczne, w jakich znalazła się nasza Ojczyzna, wymagały śmiałego spojrzenia na sprawę przyszłości — logika życia podbitego i gnębionego narodu dyktowała konieczność podjęcia na szeroką skalę walki z okupantem. W województwie lubelskim już niemal od początków okupacji istniało szereg lewicowych ugrupowań politycznych, organizowanych samorzutnie przez działaczy komunistycznych i radykalnych ludowców.

W powiecie krańcickim powstała „Robotniczo-Chłopska Organizacja Bojowa”, włodawskim — „Bojowa Organizacja Ludowa”, na ziemi cheimskiej — „Czerwona Partyzantka”. Poza tymi ośrodkami działały w różnych zakątkach Lubelszczyzny bezimiennie grupy partyzanckie o lewicowych poglądach. Na terenie północno-wschodniej części Zamojszczyzny powstały oddziały Konstantego Małsterza i Józefa Małyszka.

Wszystkie te grupy organizacyjne, aczkolwiek bliższe sobie programowo, działały w sposób nieskoordynowany, toteż niezwłocznie należało zespolic je wokół jednolitych, wspólnych założeń i zadań. W styczniu 1942 roku w Warszawie zorganizowana została Polska Partia Robotnicza. Partia ta powstała w okresie, kiedy II wojna światowa ogarnęła niemal cały świat, a hitlerowcy, dumni ze swych pierwszych zwycięstw, przystąpili do realizacji szaleńczego i zbrodniczego zamiaru nakreślonego „Generalnym Planem Wschodnim”, zakładającym między innymi wyniszczenie kilkudziesięciu milionów ludności części Europy położonej na wschód od Niemiec. Powstanie Polskiej Partii Robotniczej, którą zrodził czyn zbrojny, oznaczało zasadniczą zmianę w sytuacji wewnętrznej okupowanej Polski, pojawiła się bowiem realna siła polityczna głosząca program nieubłaganej walki zbrojnej z hitleryzmem. Był to program jednoczenia wszystkich zdrowych, patriotycznych sił w walce o wyzwolenie narodowe i społeczne. Nowo powstały KC PPR zastał na Lubelszczyźnie przygotowany grunt do tworzenia siatki partyjnej i zbrojnych oddziałów partyzanckich GL. Ta właśnie partia dzięki swemu rewolucyjnemu programowi potrafiła w stosunkowo krótkim okresie zjednoczyć na terenie Lubelszczyzny wszystkie rozproszone ugrupowania komunistyczne i utworzyć z nich Gwardię Ludową. Wówczas to „Czer-

(Dokończenie na str. 6)

IDŹMY DALEJ PO TEJ DRODZE

(Dokończenie ze str. 1)

niowej jest historia, oni znają tylko jedną Polskę, Polskę dnia dzisiejszego. Gdybyśmy chcieli spojrzeć na to zjawisko w oparciu o nasz region, otrzymalibyśmy następujące cyfry: 38% społeczeństwa Lubelszczyzny to ludzie urodzeni po roku 1939, 42% — ludzie w wieku 30 lat. Przytoczone cyfry są zatem dodatkowym argumentem, uzasadniającym potrzebę dokonywania porównań dwóch dwudziestolecia: międzywojennego i Polski Ludowej. Chodzi przecież o to, by osiągnięcia lat 1944—1964 były dostępne dla każdego, bez względu na wiek i przekonanie, nie bowiem tak nie przekonuje jak uświadomienie sobie tych ogromnych przemian, jakie dokonały się u nas po wojnie.

„W ciągu 20 lat — jak powiedział tow. Gomulka na XV Plenum KC — zbudowaliśmy nową Polskę, posiadającą nowy potencjał produkcyjny, nową strukturę społeczną, nową kulturę, Polskę, w której kipi nowe życie i która wychowuje nowego człowieka, nowe socjalistyczne społeczeństwo. Pod względem rozwoju ekonomicznego w ciągu XX lat planowej, socjalistycznej gospodarki nowa Polska przebyła drogę, którą inne, dzisiaj wysoko uprzemysłowane kraje kapitalistyczne przebywały w ciągu stuleci”.

Słowa I sekretarza KC PZPR znajdują doskonałe pokrycie w drodze, jaką przeszła Lubelszczyzna od roku 1944 do chwili obecnej. Spróbujmy przypomnieć przynajmniej podstawowe dane, mówiące o tym, jak wyglądała Ziemia Lubelska w latach międzywojennych, z jakiej depresji gospodarczej i kulturalnej należało ją wydobywać po wyzwoleniu, by w ten sposób uprzytomnić sobie ogrom pokonanych już zadań i jaśniej wyobrazić sobie to, co jeszcze jest przed nami.

Zacznijmy od przemysłu. W roku 1933 na terenie Lubelszczyzny (warto pamiętać, że w tym czasie w granicach naszego województwa znajdowały się powiaty: garwoliński i siedlecki) istniało 16 849 zakładów przemysłowych i rzemieślniczych. O ich rozmiarach najlepiej informuje cyfra 1398 placówek zatrudniających powyżej 4 ludzi, w których pracowało 17 494 osoby. Nie też dziwne, że w skali ogólnopolskiej przemysł nasz w ogóle się nie liczył, pod względem ilości zakładów nasz wkład zamykał się skromną cyfrą 1,9%, ilość zaś pracowników — 1,8%.

Przemysł lubelski nie tylko nie wyróżniał porównania z województwami, które należałoby określić jako średnie, ale i wśród uważanych za najbardziej zacofane, noszące nazwę „Polski B”, zajmował niejednokrotnie ostatnie miejsce. Oto kilka przykładów: pracujący w przemyśle lubelskim stanowili 13,9% ludności naszego województwa, gdy tymczasem w kieleckim wskaźnik ten wynosił 26%, a w katowickim 54%. Wśród zatrudnionych w gospodarce województwa lubelskiego robotnicy stanowili tylko 26%, w kieleckim 54%, zaś na Śląsku 71,6%. Niezwykle wymowny jest też fakt, że wśród pracowników fizycznych najpopularniejszymi były zawody parobka i służącej (59%).

Jeśli chodzi o przemysł lubelski — pierwsze miejsce należało do przemysłu rolno-spożywczego — 60% zakładów i 34,2% liczby zatrudnionych. Dalej sytuacja pod względem liczby zatrudnienia przedstawia się następująco: przemysł mineralny — 19,8%, drzewny — 18,6%, metalowy 17,7%, inne — 9,7%.

W roku 1937 na wsi lubelskiej znajdowało się pół miliona zbędnych rąk do pracy, a w miastach 40 000 bezrobotnych, o których tak pisał najwybitniejszy poeta Ziemi Lubelskiej Józef Czechowicz:

*naręgie głowy przy murze upał głodu
bezrobotni splatają mocno palce
pod magistratem ogród poszarpany
radość niebieskich godzin zatruta
[zarzą
[twarzy
[zakalcem*

Koleżance Helenie Placie
wyraży serdecznego współczucia
Z POWODU ŚMIERCI MATKI
składają:
Zarząd Lubelskiego Oddziału
Związku Literatów Polskich
i Redakcja „Kamień”

Nic dziwnego, że w tej tragicznej sytuacji mieszkańcy naszego województwa emigrowali w poszukiwaniu chleba. W latach 1922—1923 na prace sezonowe opuściło województwo 5000 osób, zaś na stałe 35 000. Jednakże nawet i ci, którzy znaleźli pracę na miejscu, dalecy byli od średniego poziomu krajowego. Bo podczas gdy w Polsce w roku 1935 przeciętny zarobek na 1 mieszkańca wynosił 419 zł 30 gr rocznie, na Lubelszczyźnie — za ledwie 108 zł 70 gr.

Nie inaczej wyglądała sytuacja w zaoferowanym rolnictwie czy oświacie. W 33 liceach ogólnokształcących kształciło się za ledwie 2000 uczniów. Jeszcze w 1939 roku 24,6% mieszkańców powyżej 10 lat stanowią analfabeci. Jeżeli do tych smutnych faktów dodamy ogromne straty, jakie wyrządziła Lubelszczyźnie wojna, łatwiej będzie zrozumieć, ile wysiłku kosztowała jej dzisiejsze oblicze. W latach 1939—44 zginęło 18% ludności województwa (360 000 osób), zniszczonych zostało 60 000 budynków mieszkalnych i gospodarczych na wsi, 350 szkół, 55% zakładów rzemieślniczych, około 100 mostów itd. Trzeba tu jeszcze dodać, że największe klęski dotknęły rolnictwo. Ilość bydła zmniejszyła się o 54,6%, trzody o 62%.

Polska władza ludowa przejęła spadek nie tylko po kapitalizmie, ale i po okupancie. Mimo to, w tych niezwykle trudnych warunkach, już w roku 1947 osiągnięty został poziom przedwojennej produkcji przemysłu, a w roku 1948 przekroczony o 35%. W roku 1963 nasz socjalistyczny przemysł, jeśli chodzi o produkcję, był 9 razy większy od przedwojennego, pod względem zaś wartości na mieszkańca — 10 razy wyższy niż w roku 1938.

W województwie, które przed wojną niemal nie miało przemysłu, pracuje dziś pełną parą szereg wielkich obiektów: Fabryka Samochodów Ciężarowych w Lublinie, Kraśnicka Fabryka Wyrobów Metalowych, Wytwórnia Sprzętu Instalacyjnego w Poniatowej, Cementownia w Chełmie, Cukrownia w Werbkowicach i wiele innych, w budowie zaś znajduje się jedna z największych inwestycji w Polsce — puławskie Azoty.

Mimo tych niewątpliwych osiągnięć pod względem przemysłu jesteśmy nadal na jednym z ostatnich miejsc w kraju. Ogromne możliwości kryją się także i w rolnictwie. Dlatego też ostatnia Wojewódzka Konferencja Przedjazdowa PZPR w Lublinie, która obradowała w dniach 30—31 maja, tym właśnie problemom poświęciła największą uwagę.

Konferencja ustosunkowała się do wniosków i postulatów zgłoszonych przez mieszkańców Lubelszczyzny w dyskusji przedjazdowej, sprecyzowała stanowisko wojewódzkiej organizacji PZPR wobec też i problemów IV Zjazdu i wyłoniła 67-osobową reprezentację na Zjazd. W czasie dwudniowych obrad, zarówno w referacie I sekretarza KW PZPR — tow. Kozdra, jak i w dyskusji, w której wzięło udział 25 osób, wydyobyto i poddano krytyce wszelkie niedociągnięcia naszej gospodarki i wskazano główne kierunki pracy, szczególnie zaś wykorzystanie do maksimum ogromnych rezerw Oceniając rozwój przemysłu tow. Kozdra powiedział m. in.:

„Ziemia Lubelska ma już taki przemysł, który pozwolił jej usunąć wszystkie plagi gospodarcze międzywojennego dwudziestolecia i zmienił jej oblicze, nie ma jednak jeszcze takiego przemysłu, który zapewniłby harmonijny, wszechstronny rozwój wszystkich rejonów województwa, który dałby zatrudnienie nadwyżkom siły roboczej na lubelskim Podlasiu, w północnym i środkowym pasie nadbużańskim oraz w południowej i południowo-zachodniej Lubelszczyźnie, który by jeszcze wyraźniej zbliżył Lubelszczyznę do podstawowych wskaźników krajowego poziomu globalnej produkcji przemysłowej, produkcej na jednego mieszkańca, zatrudnienia na 1000 mieszkańców i dochodów na 1 mieszkańca, który zapewniłby Ziemi Lubelskiej — kolebce władzy ludowej — należne jej miejsce wśród wysoko rozwiniętych regionów rolniczo-przemysłowych kraju”.

Szczególnie dużo uwag krytycznych i postulatów padło pod adresem rolnictwa, podnoszono konieczność dalszego rozwoju kolek rolniczych, poprawy struktury zasiewów w oparciu o naturalne warunki glebowe, zwiększenia obszaru uprawy pszenicy i roślin przemysłowych, rezerw wzrostu produkcji zwierzecej, zwłaszcza zwiększenia pogłowia dzięki postępowi me-

lioracji w rejonie kanału Wieprz — Krzna. Dyskutowano i wytyczono drogi inwestycyjne wiejskim, elektryfikacji, zaopatrzeniu w nawozy sztuczne, melioracji, jak również dostawom pasz i zaopatrzeniu w nawozy sztuczne. Wiele uwag padło też pod adresem budownictwa wiejskiego i wyposażenia wsi w placówki obsługujące produkcję rolną, mówiono także o modernizacji życia.

Konferencja wytyczyła dalsze drogi rozwoju przemysłu, rolnictwa, kultury i oświaty lubelskiej, zalecając organizację partyjnym poszczególnych zakładów i przedsiębiorstw opracowanie konkretnych programów działania w trosce o pełne wykorzystanie ukrytych rezerw i obniżkę kosztów. Podobne postulaty odnoszą się również do wsi, której zadaniem jest także wykorzystanie istniejących jeszcze rezerw, zwiększenie produkcji rolnej i pełna realizacja hasła: „Zmieniamy oblicze wsi lubelskiej”.

Konferencja nakreśliła wyraźnie plan działania do roku 1965 i sprecyzowała potrzeby i możliwości rozwoju gospodarki i życia społecznego Lubelszczyzny w latach 1966—1970.

Kończąc przemówienie tow. Władysław Kozdra wskazał na najcenniejsze elementy dorobku wojewódzkiej organizacji partyjnej, które tkwią w konsekwentnym wcielaniu nakreślonych planów w życie i ogromnym dorobku dwudziestolecia, w silne idei socjalizmu — co pozwala z optymizmem spojrzeć w przyszłość i z radością witać rozpoczynające obrady IV Zjazd Partii:

„I choć daleko nam jeszcze do doskonałości, choć widzimy, ile jeszcze mamy do zrobienia zarówno w pracy wewnętrznej, jak i w dziedzinie pracy ideowo-politycznej wśród społeczeństwa — to wielkie przekonanie, pogłębiane codziennie przez praktykę życiową, że działamy zgodnie z hasłami, które głosimy, zgodnie z teoretycznymi zasadami naszej partii, z jej linią polityczną, i że to, co czynimy aprobuja i popierają najszerze rzesze społeczeństwa napawa nas optymizmem i wiarą we własne siły, pozwala podejmować się zadań trudnych i bardzo trudnych, jest najcenniejszym dorobkiem rozwoju naszej organizacji partyjnej w ostatnich latach.

Idźmy dalej po tej drodze!”

Elżbieta i Roman Rosiakowie

PPR - SZEREGI I PRZYWÓDCY (2)

EUGENIUSZ MYSŁOWSKI

Powstanie Komitetu Obwodowego, komitetów okręgowych i powiatowych

NA Lubelszczyźnie Polska Partia Robotnicza powstała w 1942 r. w rezultacie pobytu przedstawicieli KC PPR Włodzimierza Dąbrowskiego (ps. „Wujek”) i jego pertraktacji z kierownictwem Robotniczo-Chłopskiej Organizacji Bojowej, która utworzyła trzon PPR. W skład powołanego wówczas Komitetu Obwodowego weszli: Włodzimierz Dąbrowski jako I sekretarz, Aleksander Szymański (ps. „Al”) i Michał Wójtowicz (ps. „Zygmunt”) jako członkowie.

Na czele lubelskiego Komitetu Obwodowego jako pierwszy sekretarz stali kolejno: od kwietnia 1942 r. do połowy 1942 r. — Włodzimierz Dąbrowski; od połowy 1942 r. do grudnia 1942 r. — Michał Wójtowicz; od stycznia 1943 r. do połowy 1943 r. — Hilary Chelchowski (ps. „Janek”); od połowy 1943 r. do marca 1944 r. — Jan Sławiński (ps. „Tyfus”); od marca 1944 r. do czerwca 1944 r. — Kazimierz Wyrwas (ps. „Michał”); od czerwca 1944 r. do wyzwolenia — Aleksander Szymański.

W październiku 1943 r. rozkazem dowództwa głównego GL Obwodu II został podzielony na 3 okręgi (OK). OK 1 (w nomenklaturze Obwodu określany jako nr 5) obejmował powiaty: tomaszowski, hrubieszowski, krasnostawski, biłgorajski, zamojski, janowski i południową część powiatu puławskiego; OK 2 (4) — włodawski,

Podziękowanie

Twórcy widowiska pt. „Tobie, Ojczyzno”, wystawionego w Lublinie z okazji XX-lecia PRL i Roku Ziemi Lubelskiej, otrzymali następujące cenne wyrazy uznania:

Przewidyum Wojewódzkiego Komitetu Frontu Jedności Narodu w Lublinie składa gorące podziękowanie kadrze instruktorkiej, a w szczególności kierownikowi artystycznemu tow. Wandzie Kaniorowej, kierownikom i członkom szkolnych, robotniczych i wiejskich zespołów artystycznych, wychowawcom i dzieciom lubelskich szkół podstawowych, harcerzom, żołnierzom KBW i Ludowego Wojska Polskiego oraz tym wszystkim, którzy przyczynili się do opracowania i przygotowania z okazji XX-lecia PRL i „Roku Ziemi Lubelskiej” pięknego widowiska plenerowego pt. „Tobie, Ojczyzno”.

Niech praca i społeczna postać instruktorów i uczestników widowiska będzie przykładem dla wszystkich zespołów artystycznych Lubelszczyzny w ich pięknej pracy nad rozwojem i upowszechnianiem kultury.

Za Przewidyum
Wojewódzkiego Komitetu
Frontu Jedności Narodu
Władysław Kozdra
I sekretarz KW PZPR

bielski, radzyński, lubartowski, lubelski, chełmski i północną część puławskiego; OK 3 (6) — siedlecki, węgrowski, łukowski i sokołowski. Po pewnym czasie OK 3 (6) odpadł z obwodów lubelskiego.

Okręgi były podzielone na powiaty i rejony, których granice ustalał dowództwo okręgu. Każdy powiat lub rejon dzielił się z kolei na gminy i gromady. Podział ten utrzymał się do wyzwolenia i stanowił strukturę jednocześnie PPR, GL i AL.

Na czele każdej jednostki organizacyjnej stał komitet partyjny, w skład którego wchodził: sekretarz, technik i skarbnik. Sekretarz troszczył się o należyte funkcjonowanie organizacji, pilnował wykonania poleceń kierownictwa oraz nadzorował pracę instancji niższych; technik kierował kolportażem prasy oraz organizował druk wydawnictw; skarbnik miał powierzony pieczę nad zdobywaniem funduszy partyjnych i udzielaniem pomocy rodzinom poległych. Ponadto w skład komitetów wchodził członek, który kierował zleconymi zadaniami. W oddziałach leńskich istniały także komitety partyjne. Oddziały garnizonowe otoczone były opieką komitetów gminnych.

Pierwszy na Lubelszczyźnie komitet powiatowy PPR powstał w powiecie kraśnickim dnia 10 kwietnia 1942 r. W skład jego weszli: Aleksander Szymański jako sekretarz, Michał Wójtowicz jako kierownik powiatu i redaktor prasy oraz Stanisław Szot (ps. „Kot”), jako skarbnik.

Już w 1942 r. podejmowano próby organizowania komitetów gminnych. Według protokołu KP PPR w Krakniku z dnia 4.VI.1944 r. na terenie powiatu miały być 32 komórki liczące 154 członków. Rozmieszczone one były po wszystkich gminach z wyjątkiem gminy Batorz i Wilkolaz.

Pierwszy tymczasowy komitet powiatowy PPR dla powiatu lubartowskiego powstał w kwietniu 1942 r. W r. 1944 nastąpiła reorganizacja tymczasowego komitetu i na jego miejsce w dniu 3 marca 1944 r. został powołany stały Komitet Powiatowy w składzie: Wacław Niecko — sekretarz, Wacław Mazurek — technik, Czesław Polński — komendant powiatowy GL, Wacław Bonat, Szczepan Kudła — członkowie. Po pewnym czasie w skład KP dookooperowany został Bolesław Gol, który w okresie pobytu Niecki w więzieniu (V.1944—6.VII.1944) pełnił funkcję sekretarza. Od 6.VII.1944 r. sekretarzem został ponownie Wacław Niecko.

Komitet Powiatowy PPR powiatu puławskiego powstał w dniu 10 czerwca 1942 r. Został powołany w Lublinie, przy ul. Krakowskie Przedmieście 20, u tapicera Skowrońskiego. W konferencji założycielskiej udział wzięli: Franciszek Józwiak (ps. „Wi-

(Dokończenie na str. 8)

SWARADZ- znaczy WOLNOŚĆ

W dniu 27 maja 1964 r. zmarł w Delhi Jawaharlal Nehru, premier Indii. Urodził się 14 listopada 1889 r. jako syn adwokata i działacza partii kongresowej, Motilala Nehru. Studiował w Anglii nauki przyrodnicze i prawo. Po powrocie do kraju praktykuje jako adwokat, a równocześnie staje się działaczem, tak jak ojciec, Partii Kongresowej. Za działalność antyangielską spędził około 10 lat w więzieniu. Od 1929 roku jest przewodniczącym Partii Kongresowej. Od 1947 r. po uzyskaniu przez Indię niepodległości, aż do chwili śmierci piastował nieprzerwanie stanowisko premiera.

POLSKA i India. Dwa odległe od siebie światy, dwa wzajemnie dla siebie egzotyczne kraje. Pamiętam, jak w 1946 r. przyjechał do Polski przedstawiciel Indii. W jednym z pism warszawskich ukazał się wywiad. Reporter zadał takie pytanie: — co przeciętny Hindus myśli o Polsce?

— Hm — odpowiedział zapytany — dla nas to najbardziej tajemniczy kraj świata...

A dla nas Polaków India — tak samo.

Choć dziś już odległości skureczyły się i mamy różne kontakty, przeważnie gospodarcze. Powoli zasłona tajemniczości zaczyna opadać. Ale są również silne przeciwieństwa i różnice. Jakże inaczej np. walkę o niepodległość Ojczyzny polewali Polacy. Dla nas pojęcie walki było jednoznaczne i jednorodne. A dla Hindusów... W tym miejscu przytoczę wiersz poety Narmada (1833—1886) piszącego w języku guźdarati.

*Spójrz, jak potężny Anglik
Rządzi małymi Hindusami.
Dlatego, że ńre mięso,
Ma pięć łokci wzrostu.*

I choć wierszyk był kiepskawy (Narmada był słabutkim poetą), cieszył się, szczególnie wśród młodzieży, dużą popularnością.

Właśnie o tym wierszyku pisze w swej głośnej autobiografii (noszącej tytuł „Dzieje moich poszukiwań prawdy”) Mahatma Ghandi. Dla niego, w okresie szkolnym, utwór ten stał się problemem. Wywołał silny wstrząs.

Ród Ghandiego należał do wyznawców Wisnu i mieszkał w Guźdaracie. Prowincja ta była jednym z centrów tradycyjnej walki i sprzeciwu przeciwko spożywaniu mięsa. A tu wierszyk wskazuje na jego dobre strony!

Wielka religijna filozofia ukształtowała umysłowość Hindusów.
„Człowiek poszukujący prawdy powinien być skromniejszy od pyłu zaciętającego drogę. Tylko wtedy i dopiero wtedy dostrzeże on prawdę”.
To są słowa, które w przedmowie napisał M. K. Ghandi.

Ta postawa filozoficzna, która wpływała z tradycji i urobiła się poprzez środowiska i poprzez doznania i przemyślenia, stała się w końcu fundamentem teorii biernego oporu, specjalnego sposobu walki z kolonialnym zaborem. A jej rekwiizytem i symbolem — kołowrotek, którego przedziwo miato skutecznie przeciwstawiać się potędze angielskiego przemysłu tekstylnego...

Niewątpliwie była to utopijna walka, ale jej pojęcia trafiły do umysłowości Hindusów, mimo że nie tworzyli oni ani rasowo, ani religijnie, ani językowo, ani obyczajowo jednolitej masy.

Słowo Swaradz (wolność) było zrozumiałe dla wszystkich.

W roku 1889 urodził się Jawaharlal Nehru. W tym czasie Ghandi już od dwóch lat był po maturze i właśnie na studia wybrał się do Anglii.

Nehru wybrał drogę w polityce bardziej realną. Partia Kongresowa, której później przewodniczył i która po odzyskaniu niepodległości objęła rządy i rządzi dotychczas, skupiła bardziej praktyczne doświadczenia i na realnej polityce się oparła. Ale duch ghandyzmu i szukania prawdy niewątpliwie przeniknął do jej programów.

SPOSROD pisarzy starszego odemnie pokolenia, których mianem sposobność poznać zaraz po pierwszej wojnie światowej, Reymont zachował się w mej pamięci jako postać niezbyt interesująca i sprawiająca, prawdę mówiąc, po zamienieniu z nim paru zdań, wyraźny zawód. W czym ten zawód się wyrażał? — może zapytać słusznie niejedyn czytający te słowa. Odpowiadam więc, uprzedzając niejako pytanie. Zdawkowość w formułowaniu myśli, operowanie w rozmowie niewyszukanymi truizmami i skłonność do przesłizgiwania się dość powierchowemu po poruszanych zagadnieniach — oto w ogólnych zarysach wrażenia, jakie wyniosłem z pierwszej rozmowy z Reymontem.

Miała ona miejsce w siedzibie, jeśli tak szumnie można powiedzieć, Związku Literatów, zajmującego jeden z maleńkich pokoiów w lokalu Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich przy ulicy Brackiej 5. Reymont należał do pierwszego Zarządu Związku Literatów, wybranego na Walnym Zjeździe w maju 1920 roku. Posiedzenie inauguracyjne zwolane zostało po zakończeniu pamiętnych działań wojennych. Było to pod koniec września owego 1920 r.

Przypominam sobie, że Reymont przyszedł na posiedzenie z dużym opóźnieniem. Usiadł z boku, wykreśliwszy się profilem do Sieroszewskiego, który wtedy — w zastępstwie Zeromskiego — przewodniczył, i w tej pozycji pozostał do końca posiedzenia. Siedział tak, nieruchomo wpatrzony w ścianę, na której nie nie było godnego uwagi. Nie zabierał głosu, jakby nie interesując się zupełnie przebiegiem obrad.

Po wyczerpaniu porządku dziennego, gdy obecni zaczęli powstawać i zabierać się do wyjścia, nie omisszałem podejść do Reymonta, aby przedstawić się mu, wyrażając przy tym zadowolenie z poznania tak wybitnego pisarza.

— Aha, a pan kto jest? — padło nieoczekiwane pytanie.

Powtórzyłem nazwisko, wymieniając na wszelki wypadek i imię.

— Nie, nie! — usłyszałem w odpowiedzi. — Czym się pan zajmuje? O to chciałem zapytać...

— Piszę... — rzekłem niepewnie, zachodząc w głowę, do czego zmierza to pytanie.

— Pisze pan... A jaki rodzaj piarstwa pan uprawia?

— Przeważnie wiersze, choć i prozy staram się nie zaniedbywać — odparłem.

— Na wiersze szkoda czasu, proszę mi wierzyć... — odpowiedział Reymont. — To żadnego profitu nie daje. Ja też tak zaczynałem, ale szybko oprzytomniałem i jeszcze szybciej wycofałem się z tych praktyk. Proza daje zawsze jakieś zadośćuczynienie materialne, czasem większe, czasem mniejsze, ale daje. Proza jest towarem poszukiwanym na rynku, ale nie wiersze, z którymi musi pan dobrze poobijać się po redakcjach, zanim coś wezmą z tego i to przeważnie z łaski.

Nie tak wyobrażałem sobie autora „Komediantki” i „Chłopów”, nie tak rysował się w myślach moich, w oparciu o lekturę jego książek. Wprawdzie z fotografii pisarza, umieszczonych w pismach, trudno było oczekiwać czegoś innego, miało się jednak jakieś złudzenie, że zdjęcie fotograficzne może nie oddaje w pełni

Ghandi i Nehru stykali się rzadko, a już trudno powiedzieć, że Nehru był uczniem Ghandiego, choć jego filozofia w pewnym okresie fascynowała umysł przyszłego premiera.

Ghandi w swej Autobiografii niemal nie wspomina o Nehru. Drogi ich działalności nie zbiegały się silnie.

Dla Nehru prawdą w polityce stał się pokój. Jego osoba w całym świecie utożsamiała się z pojęciem pokojowych dążeń, którym na każdym kroku dawał wyraz i to zarówno na arenie międzynarodowej, jak i we własnym kraju.

Śmierć, która zabrała go nagle, okryła żałobą wszystkie kraje militujące pokój, do których i Polska należała.

Prasa doniosła o uroczystościach pogrzebowych, o spaleniu ciała na stosie i o patetycznym akcie wrzucenia prochów do świętej rzeki, Gangesu.

Mimo to, że w proch obróciło się ciało, pozostał wyraźny i niezmienny obraz tego, który był rzecznikiem szlachetnej idei.

Dla niego wolność i pokój były pojęciami nierozłącznymi.

Jan Swoboda

Wspomnienie o Reymencie

EDWARD KOZIKOWSKI

wnętrza autora, tym bardziej, iż pamiętałem doskonale świetny portret pedzła Jacka Malczewskiego, przedstawiający Reymonta na tle rozległych pól, w koronie gęstej blond czupryny, ze spojrzeniem prześwietlonym głębią zadumy i z książką w ręku, przyściśniętą żarliwie do pierśi. Gorzej, o wiele gorzej wypadł Reymont w portrecie Leona Wyczółkowskiego, prezentując się jako zdecydowany wykojeńiec z komedii Aleksandra Ostrowskiego. W rzeczywistości ujrzałem dobrze utrzymanego jegomościa, może o oteplonym trochę wyrazie, z lekkim, trudno dostrzegalnym zezem, wyglądającego nie tyle na pisarza, ile na oficjalistę z małego folwarku.

W tok moich myśli wmięszalo się nagle pytanie ze strony Reymonta:

— Panie! A kto to był ten, co siedział zaraz za Sieroszewskim?

Gdy zacząłem się zastanawiać, kto by to mógł być, i wymienilem parę nazwisk obecnych osób, dodając, że trudno mi tak od razu zorientować się, o kogo pyta, padły słowa bliżej określające osobnika, którym się zainteresował mój interlokutor.

— No, ten w popielatym garniturze z drobnymi paskami, z krawatem w niebieskim odcieniu...

— Glinka! — powiedziałem bez wahania — Ksawery Glinka!

— Ach, tak, tak! przecież go znam — rzekł, usprawiedliwiający się jakby i dodał: — No, tak... poznałem go na zjeździe. Twarz niby dość charakterystyczna, a jakoś zatarła mi się w pamięci...

Wiedziałem już, że mam do czynienia z nie byle jakim obserwatorem, który w mig chwytając pewne odrębności w wyglądzie, czy w ubiorze spotykanych osób i zatrzymuje je w pamięci niczym klisza fotograficzna. Zastanawiałem się tylko, w jaki sposób proces ten się odbywa, skoro Reymont siedział przez cały czas z wzrokiem utkwionym w ścianę, nie odwracając głowy ani na chwilę w stronę obradujących.

Lorentowicz, z którym utrzymywałem w owym czasie bliskie kontakty, usłyszawszy ode mnie o tej rozmowie, zapewnił mnie, że Reymont ma wyjątkowo wyrobioną pamięć wzrokową, o czym niejednokrotnie miał sposobność przekonać się, mieszkając z nim wspólnie w Paryżu i stykając się z nim po parę godzin dziennie.

Tą pamięcią imponował mi zawsze — powiedział Lorentowicz — imponował i wprawiał w zdumienie. Nie mogło mi się nieraz w głowie pomieścić, że można zapamiętać jakieś drobne szczegóły i detale ubrania, a poza tym sposób bycia przy-padkowo spotykanych osób, jak to potrafił Reymont. Bywaliśmy przecież razem na różnych zebraniach i na przyjęciach w Paryżu. Po wyjściu dzielimy się wrażeniami. Spostrzeżenia Reymonta — przynajmniej — budziły we mnie podziw, a nieraz wprawiały w osłupienie. Nie umiem powiedzieć, czy to wynika z wrodzonych właściwości jego organizacji psychicznej, czy też ma się do czynienia z nabytymi zdolnościami, które wyrabiał w sobie stopniowo, dochodząc z czasem do niebywałej perfekcji.

W kilka miesięcy, potem zostałem zaproszony na seans spirytystyczny z udziałem znakomitego wtedy medium, niejakiego Guzika. Seans miał się odbyć w jednym z prywatnych mieszkań przy ulicy Marszałkowskiej, między Hożą a Wilczą. Jakież było moje zdziwienie, gdy wśród zebranych osób natknąłem się na Reymonta. Nie wiedziałem zupełnie, chociaż to było tajemnicą poliszynela, że interesuje się spirytyzmem i bywa na seansach, dlatego też nie starałem się nawet ukryć zdziwienia z powodu tego spotkania.

— I pan tutaj? — zapytałem mimo woli, bez ukrytej myśli, witaając się z nim.

— A on, tak samo, jak pan. Zaraz widzę, że niewiele wiemy o upodobaniach i zainteresowaniach swolch znajomych. Nigdy pana nie spotkałem na seansach i to raczej mnie przysługuje prawo wyrażenia zdziwienia, że tu właśnie pana spotykam...

— Sprowadziła mnie tutaj zwykła ciekawość... — tłumaczyłem się, zaskoczony rikoszetowym trochę cięciem Reymonta. Był, jak pamiętam, nieco podniecony i temu przypisywałem

chęć z jego strony wadzenia się czy przekomarzania.

Na dany znak zajęliśmy miejsca wokół stołu, łącząc się rękami ze sobą. Guzik, osobnik o dość pospolitej i całkiem nieciekawej twarzy, po paru minutach zaczął stękać, jęczeć i sapać. Towarzystwo zamarło w oczekiwaniu mających nastąpić objawów czy wydarzeń, ale nie jakoś nie zapowiadało ich nadejścia. Zaczęto przeto pchczakiwać, rozległy się szepty, które stopniowo przeszły w głośnie rozmowy. Ktoś powiedział, że widocznie Guzik nie jest usposobiony i z seansu prawdopodobnie będą nici. Ktoś inny wyjaśnił, że jednak Guzik znajduje się w stanie wyraźnego uspienia i lada moment należy oczekiwać jakichś objawów. Nie wszakże nie wskazywało na to, że nastąpią.

W pewnej chwili Guzik się ocknął, wydmuchnął z siebie pokaszny haust powietrza, jak ów Bajdala z leśmianowskiej ballady, i powiedział:

— Bo to ktoś z państwa przeszkadza i seans nie może się odbyć... Może osoba, która się do tego poczuwa, sama wyłączy się z łańcucha...

Z początku zapanowała głucha cisza, jak by kto makiem zasiał. Wzajemnie patrzyliśmy na siebie, szukając winowajcy. Po chwili dopiero padły pytania: — Ale kto ma się wyłączyć? Kto się przyzna do tego, że przeszkadza i może jeszcze z premedytacją?

Ponieważ w spirytyzm jakoś nie bardzo wierzyłem, a na seans wybrałem się bez żadnego przekonania, przeciewnie, nastawiony raczej sceptycznie, czemu dałem wyraz w rozmowie z sąsiadującym za mną uczestnikiem, podżartowując sobie z duchów, które miały dać znak o swym zejściu na ziemię, niewiele myśląc, oświadczyłem, że widocznie moja osoba stanowi tę zapórę niemożliwą do przebycia. I tu stała się rzecz dziwna i zarazem niewytłumaczona. W momencie wyłączenia się z łańcucha, ukazał się za moimi plecami na chwilę potężny słup ognia o zielonkawym zabarwieniu, który — pamiętam — oświetlił swym blaskiem kanciasto nalożone kieszenie boczne mego fracza wojskowego, i wyszły na ówczesną modę angielską. Usłyszałem okrzyki zdumienia i sam trochę zaskoczony, wycofawszy się z grona osób, zajmujących miejsca przy stole, siadłem na znajdującej się za mną otomanie. Rozglądając się z trudem w ciemnościach i błądząc re'ra no ścianie z prawa i z lewa, natrafiłem na wyłącznik od światła elektrycznego. Wpatrywałem się szeroko rozwartymi oczami w zalegającą dokoła ciemność i po chwili zacząłem rozróżniać sylwetki przy stole, zarys jakiejś olbrzymiej szafy w stylu gdańskim, przyklepionej do ściany i drzwi dwuskrzydłowe, prowadzące do następnego pokoju. Po chwili dostrzegłem przelatującą parabolą fosforyzującą świetliki, które zniżając się, gasły i rozplywały się bez śladu w mroku. Jak owe gwiazdy spadające, których przelot na tle nieba trwa zazwyczaj ułamki sekund. Wśród zebranych wytworzył się nastrój trochę sielankowy, jak cicha, bezwielzna nocą letnią pod rozgwiazdżonym niebem w obliczu gór, gdy całym jestestwem zapada się w bezmiar świata, nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

Światelka zapalały się beztrząskowo w różnych stronach pokoju, zataczały umowny łuk i rozplywały się w ciemnościach. Nagle w tę ciszę wdął się niesamowity głos jednego z uczestników seansu:

— Franek, to ty? Boże! Czemu tak patrzysz na mnie?

Przetarłem oczy raz i drugi, zacząłem się wpatrywać w ciemność, wybuszując ślepią w kierunku Guzika, ale nie, dosłownie nie, dojrzeć nie mogłem. Nie zobaczyłem żadnej zjawy, której pojawienie się anonsował głos nieznanego mi osobnika. I znów dał się słyszeć, tym razem już krzyk, tej samej osoby:

— Boże! Boże! Franek! Czemu chcesz ode mnie? Nie patrz tak! O, Jezu!

W tym momencie usłyszałem wyraźne poruszenie przy stole, jakby szamotanie nawet i odsuwanie krzesła. Niewiele myśląc, stało się to zresztą machinalnie, podniosłem rękę, wymacałem wyłącznik i przekreśliłem go. Fała światła elektrycznego zalała pokój. Osobą szamocącą się z urojoną, czy

(Dokończenie na str. 5)

O czerwcowych kwiatkach i pięknej uwerturze

BOLESŁAW
BARTOSZEWICZ

W IEMY, jak to jest: najpierw są uroczystości, wiele fanfar i inauguracji, a potem nieraz zapomina się o sprawach podstawowych. Wszyscy, którzy podczas tegorocznych Dni Oświaty, Książki i Pracy zwiedzaliśmy kiermasz książkowy przed warszawskim Pałacem Kultury i Nauki, widzieliśmy dzieła, o których wiadomo było, że są już wyczerpane, które zdobyliśmy przed kilkoma miesiącami z wielkim trudem. Nic to w końcu dziwnego. Znana jest bowiem prawda o tym, że nie tylko są najpierw uroczystości, a potem zapomina się o sprawach podstawowych. Jest również i tak: najpierw zaniedbuje się to i owo, macha się ręką na jedno i drugie, następnie zaś pokazuje w pełni blasku i chwaly. I jedno niedobre, i drugie złe. Zwłaszcza w działalności kulturalnej, której sens, celowość, wielka społeczna przydatność są wprost proporcjonalne do codziennej obecności w naszym życiu. I nie inaczej, tylko właśnie tak.

Czy nasi działacze kulturalni zawsze o tym pamiętają? Warto postawić to pytanie szczególnie teraz, gdy skoń-

czyły się szumne, i zresztą piękne wartościowe imprezy z okazji Dni Oświaty, Książki i Pracy. Tegoroczne Dni miały oczywiście wymowę szczególną. Odbływały się przecież w roku Dwudziestolecia Polski Ludowej, w czasie więc, gdy sumujemy nasze osiągnięcia i porównujemy je z analogicznym okresem międzywojennym. „Czynimy to nie tylko dlatego — jak mówił na ostatnim zjeździe nauczycieli premier Cyrankiewicz — by samemu sobie uświadomić ogrom przebytej drogi i dokonanej pracy, by dokonać bilansu porównawczego polskiej rewolucji. Ale również ze względów czysto dydaktycznych. Albowiem dorosło już i dojrzało w Polsce pokolenie, dla którego wszystko, co działo się przed wojną, jest już historią, o której wiedzę czerpie z książek i opowieści”.

Dla milionów młodych Polaków rewolucja kulturalna, która dokonała się w naszym kraju, jest zjawiskiem zgoła normalnym. Ludzie ci nie zdają już sobie sprawy z tego, że liczby i fakty dotyczące rozwoju kulturalnego Polski należą do naszych osiągnięć w skali światowej. W porównaniu z czasami międzywojennymi polityka kulturalna Polski Ludowej zapewniła stale upowszechnianie kultury i oświaty wśród najszerzszego rzesz naszego społeczeństwa, wszystkich mieszkańców kraju. Nie będe się rozwoził nad tym, że mamy dziś półtora miliona telewizorów, gdyż przed dwudziestoma i paroma laty XI muza znajdowała się w powiśnikach na całym świecie, ale już to, że w roku 1938 było w Polsce 29 abonentów radiowych na tysiąc mieszkańców, dziś zaś jest 134 — stanowi chyba jakąś prawdę o temple upowszechniania kultury w mijającym dwudziestoleciu. Stanowi o tym i to, że w tymże samym roku 1938 było 57 milionów widzów w kinach, w 1963 zaś 180

milioniów, choć przecież wiadomo, że liczba ludności Polski jest dziś mniejsza niż w czasach przedwojennych.

Najbardziej jednak jaskrawym przykładem rozwoju kulturalnego naszego społeczeństwa, charakteryzującego się nie tylko określonym poziomem dzisiaj, lecz nade wszystko stałym wzrostem zapotrzebowania na artystyczne treści, jest stosunek do literatury. Nikt tak na co dzień po prostu nie pamięta, że nakłady książek wydawanych dziś u nas są wielokrotnie wyższe niż to było przed wojną i że mimo to coraz krócej nowo wydany tom gości na księgarskich półkach. Nie więc dziwnego, że przezorni księgarze i wydawcy schowali pewną liczbę nowości, by je potem wyczarować przed oczami zdumionych poszukiwaczy podczas majowego kiermaszu.

Właśnie chyba przede wszystkim owe miliony młodych Polaków, dla których „wszystko, co działo się przed wojną, jest już historią”, nie zastanawiają się nad wymową liczb, dotyczących rozwoju kulturalnego naszego kraju. Liczby te zresztą wybrałem z wielu, ot tak, na chybił-trafił. Jest bowiem faktem, że w ciągu mijającego dwudziestolecia wszystkie dziedziny naszej kultury narodowej rozwinęły się w stopniu wyjątkowym, a upowszechnienie dóbr kulturalnych i dotarcie z kulturą do najróżnorodniejszych środowisk stało się swego rodzaju ewenementem na miarę epoki. To było bowiem najtrudniejsze: dotarcie wszędzie, objęcie procesem upowszechniania kultury ośrodków nie należących do centrów myśli intelektualnej; małych miasteczek, a nawet i wsi. Nierzadko — i słusznie zresztą — narzekamy na pracę wielu placówek kulturalnych w dalekich najmniejszych miejscowościach, wy-

tykającą się nieraz podstawowym brakiem. Dzieje się tak dlatego, że ciągle nie starcza nam dostatecznej liczby dobrze przygotowanych pracowników kulturalnych, którzy potrafiliby nadać działalności swych placówek właściwą rangę i nade wszystko treść. Ale równocześnie przecież warto uświadomić sobie, że jest to dowód, iż pracowników tych potrzeba nam coraz więcej, ponieważ powstają dla nich niemal bezustannie nowe stanowiska pracy. Nowe kluby i domy kultury, nowe muzea regionalne i czytelnie, nowe ogniska i biblioteki. Jak Polska długa i szeroka — od wchodu po zachód i od południa po północ — coś się u nas ustawicznie dzieje. W poszczególnych środowiskach wyrastają niczym kwiaty po wiosennym deszczu piękne i twórcze inicjatywy, ożywają się zaspasane, nieruchawe miejscowości. Najlepiej może to widać w regionach szczególnie niedogdy zaniedbanych, takich jak np. Lubelszczyzna, Kielecczyzna, Ziemia Rzeszowska czy Białostocka. Wszędzie tam coś się otwiera, rozpisuje jakiejś konkursy, zwołuje spotkania. Zapraszani są znani ludzie ze stolicy i kilku innych największych ośrodków, którzy wprawdzie nie zawsze z owych zaproszeń korzystają, ale przecież raz i drugi opuszczają swe wielkomiejskie gabinety i udają się w podróż. U celu podróży — w młodzieżowej kawiarence gdzieś pod Suwałkami, w bibliotece koło Przemysła, w różniczkim uniwersytecie ludowym, czy w nowo otwartym wiejskim klubie książki i prasy w zamojskim powiecie — spotykają się z miejscowymi ludźmi, wygłaszają prelekcje, opowiadają o pięknym i dalekim świecie.

Jest już dziś u nas tak barwnie i różnorodnie, że władze centralne nie (Dokończenie na str. 7)

N A temat bieżących wydarzeń politycznych trudno jest pisać nawet do dziennika. Przecież między godziną składania gazety a godziną czytania tyle się może zdarzyć i zmienić! A cóż tu mówić o pisaniu do dwutygodnika, gdzie czasokres dzielący moment postawienia ostatniej kropki w felietonie od momentu dotarcia tego felietonu do rąk czytelnika jest znacznie dłuższy. A jednak — i to mimo przestróg greckiego filozofa Heraklita z Efesu, który trwałość uważał za złudzenie myśli i stworzył doktrynę bezwzględnej i wiecznej zmienności wszystkich rzeczy — wzię się na napisanie felietonu o amerykańskiej interwencji w Indochinach. Wzię się na to, bo tu się nic nie zmienia, bo ta interwencja, niezależnie od aktywności i pomysłowości interwencji, skazana jest na całkowite fiasko.

Jeżeli komuś, w kraju lub za granicą, takie słowa, jak „interwencja”, „interwencja”, wydają się przesadzone i nie na miejscu, śpiesz się powołać w tej sprawie świadka, i to świadka amerykańskiego. Będzie nim senator ze stanu Oregon, Wayne Morse, członek senackiej komisji spraw zagranicznych, który w przemówieniach swoich wygłoszonych w senacie amerykańskim w dniach 9 i 11 kwietnia br. powiedział między innymi (a co niżej podpisany zacytował z Congressional Record):

„Uważam, że jest rzeczą dużo ważniejszą utrzymanie prestiżu rządu Stanów Zjednoczonych w społeczeństwie amerykańskim, niż utrzymanie jego prestiżu w Azji. Niezależnie od tego, jak wielką byłaby utrata prestiżu Stanów Zjednoczonych za granicą w razie położenia kresu jednostronnej interwencji amerykańskiej w Wietnamie Południowym — naród amerykański nie będzie popierał w nieskończoność tej rozszerzającej się wciąż interwencji”.

Na razie zwolnijmy świadka i porównajmy sprawę samą. W Wietnamie Południowym trwa wojna powstańcza przeciwko reżimowi dyktatorskiemu, odwołującemu narodowi ziemi i wszelkich swobód demokratycznych. Wprawdzie dyktatorzy co jakiś czas się zmieniają. Ale dyktatura pozostaje. Więc narodowi (dodajmy, że politycznie bardzo uświadomionemu) jest całkowicie obojętne, czy na szczytce sajskiej drabiny administracyjnej jest Diem, Minh, czy Khanh. Można sobie nawet wyobrazić, czy bardzo jest mu obojętne, czy „legendarnie piękna” bratowa zamordowanego Diema, pani Nu, włącza powadby swej cielskiej powłoki do politycznych gier w kraju, czy też na wygnaniu. Przecież głod-

nemu przede wszystkim chleb — a w Wietnamie ryż — na myśli. Więc niezależnie od aktualnej konfiguracji władzy dyktatorskiej, trwa tam walka o ziemię pod ryżowisko i o zwykłą godność człowieka. Dwa hasła, przeciwko którym żadna siła ostać się nie może, zwłaszcza jeśli nosicielem tych hasła jest naród zaprawiony w wieloletniej — i zwycięskiej — wojnie przeciwko kolonizatorom francuskim. Efekt i zasieg tych walk jest dziś taki, że to już nie oddziały powstańcze kontrolują poszczególne rejony kraju, ale tylko w poszczególnych rejonach kraju władzę sprawuje jeszcze administracja rządowa. Tam, gdzie przechodzą powstańcy, przeprowadza się reformę rolną, uruchamia się szkoły, następuje normalizacja życia publicznego. Ten nieuchronny bieg rzeczy chcieliby

nowiliśmy tam marionetkowy reżim z dyktatorem Diemem na czele. I sami namowiliśmy go do tego, by przysłał nas o interwencję”.

Myślę, że świadka możemy znowu zwolnić. Tylko na trochę, bo będzie nam jeszcze potrzebny. A tymczasem, zająwszy na moment do sąsiedniej — z Wietnamem Kambodży, która, dlatego że ściśle neutralna, ściągła na siebie ataki rządowych wojsk południowo-wietnamskich, a także samolotów amerykańskich (o co wniosła skargę do Rady Bezpieczeństwa), przenieśmy się myślą do trzeciego kraju indochińskiego, do Laosu. Tu, żeby najkrócej sprawę przedstawić, podkreślmy, że sprawy mają się odwrotnie niż w Wietnamie Południowym. Tam — rządy dyktatorskie, zniechęcone i zwalczane przez naród, tu —

równanie mniej zarabiającymi), kraju którego miasteczka i osiedla z rzadka są tylko powiązane drogami i to tak wąskimi, że w określone dni tygodnia ruch odbywa się w jednym kierunku, zaś w inne dni w kierunku odwrotnym — ludzie takiego kraju nie mogą nie wsłuchiwać się w słowa neutralistów czy słowa postępowców (Neo Lao Haksat), którzy żądają dla kraju rzeczywistego pokoju, otwierającego perspektywę wydobycia się z zacofania. I nie ma czego szukać wśród tych ludzi skrajna prawica, kupiona, nie za najdroższe zresztą pieniądze, przez obcych. Ale gdy się nie ma szans na solidne sukcesy polityczne, najchętniej stosuje się awanturnictwo. Takim właśnie awanturczym posunięciem był kolejny kwietniowy pucz, po którym władze USA wydały swoim lotnikom rozkaz dokonywania lotów wywiadowczych nad Laosem, powołując się — a jakże! — na prośbę rządu laotańskiego, obojętnego już — dodajmy — przez rebeliantów.

W tym miejscu proponuję znowu poprosić naszego świadka. Można by prosić i innych, na przykład senatora Grueninga. Ale po co rozbijać felieton na tyle głosów? Otóż po wystąpieniu stałego przedstawiciela Stanów Zjednoczonych w ONZ, amb. Stevenson, na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa zwołanym w związku ze skargą Kambodży, kiedy to Stevenson usiłował zapewnić Radę, że wojska Stanów Zjednoczonych stacjonują w Azji południowo-wschodniej tylko w tym celu, aby przywrócić tam pokój, a ludziami niepodległość, zabrał głos po raz nie widzieć już który senator Wayne Morse, który między innymi powiedział:

„Społeczeństwo amerykańskie jest przeciwko tej wojnie, o czym świadczą fakt, że 90 proc. listów, które otrzymujemy zarówno od ludności cywilnej USA, jak i od żołnierzy amerykańskich w Wietnamie, zawiera potępienie tej wojny. Ale nastawcie telewizję, posłuchajcie podlegaczy wojennych. Są oni zarówno w partii republikańskiej, jak i demokratycznej. Żądają wkroczenia do Wietnamu Północnego, żądają wkroczenia do Laosu, choć rozszerzenie wojny oznaczać będzie ostateczną katastrofę dla Stanów Zjednoczonych... Nie darzę tych krajów sympatią, ale tak się składa, że oba one mają takie same suwerenne prawa co Stany Zjednoczone...”

Amerykański senator Wayne Morse nie darzy tych krajów sympatią. Ja zaś — może dlatego, że tam dałem go byłem — mam dla nich dużo sympatii. Więc jest coś chyba na rzeczy. Jeśli mi obaj, mimo że w tej materii tak różne jest nasze zaangażowanie uczuciowe, do tych samych dochodzących wniosków.

Jeszcze raz o Indochinach

STEFAN CHANIEC-CHANACHOWICZ

Amerykanie odwrócić. Celowi temu służą dostawy broni i amunicji, środków transportu — w tym samolotów i helikopterów — oraz przerzuty żołnierzy i instruktorów amerykańskich, których liczba dawno już przekroczyła 17 tysięcy. Dość powiedzieć, że „pomoc” amerykańska dla walczącej się dyktatury południowo-wietnamskiej kosztuje Stany Zjednoczone 1,5 miliona dolarów dziennie. Oczywiście cudzyśłów przy słowie „pomoc” jest mój. Bo Waszyngton mówi o pomocy bez cudzyśłowa. Tam tłumaczy się obecność amerykańską w Wietnamie Południowym prośbą rządu sajskiego o udzielenie tej pomocy. To jest, oczywiście, nieprawda. Ale po cóż autorowi felietonu narażać się na zarzut z powodu użycia tak nieprecyzyjnego słowa? Więc poprosimy raz jeszcze świadka. A świadek, czyli senator Wayne Morse powiedział:

„Chcę sprawiedliwie prowadzoną przez nas w Wietnamie Południowym wojnę, sekretarz stanu i sekretarz obrony twierdzą, że rząd Wietnamu Południowego prosił Stany Zjednoczone o pomoc wojskową. Ale przecież tak zazywają postępują rządu marionetkowe, i dlatego właśnie tworzy się takie rządy. Rząd Wietnamu Południowego jest marionetkowym rządem Stanów Zjednoczonych... Trzeba pamiętać, że po obaleniu w Wietnamie Południowym marionetkowego rządu utworzonego przez Francję, sami usta-

rząd koalicyjny, popierany przez naród, ale podminowywany i zwalczany przez skrajną prawicę, która nie cofa się — gdy się jej tylko wydaje, że obrósła w siłę — przed zamachami zbrojnymi. Tak było w roku 1960, kiedy zbrojnie obaliła Rząd Jedności Narodowej, powstały w roku 1957 w wyniku realizacji postanowień konferencji genewskiej w sprawie Indochin (tzn. Wietnamu, Kambodży i Laosu), tak było w kwietniu br., kiedy drogą puczu wojskowego obaliła Rząd Jedności Narodowej, sformowany zgodnie znowu z układami genewskimi, tym jednak razem opracowanymi w roku 1962 przez konferencję genewską czterem państw, zwołaną wyłącznie w sprawie Laosu (w związku z sytuacją, jaka tam powstała po puczach 1960 roku).

Nie ma więc prawica laotańska szerokiego zaplecza politycznego, skoro każdorazowo po puczach musi się cofać. I nie może być inaczej w kraju, który po wieloletnim panowaniu obcych nieczego silnie nie pragnie, niż stabilizacji, umożliwiającej odrobienie nieprawdopodobnego wręcz opóźnienia rozwojowego. Ludzie kraju, w którym nie ma ani jednego komina fabrycznego, ani jednego kilometra linii kolejowej, kraju, którego stolica nie ma sieci wodociągowej (ale ma — przezwrotnie dla potrzeb cudzoziemców — dwa nocne lokale z dziewczętami, ładniejszymi od pani Nu, tylko że niepo-

WSPOMNIENIE O REYMONCIE

(Dokończenie ze str. 3)

też prawdziwą zjawą, okazał się jeden z wojskowych w stopniu majora, który w chwili, gdy zapaliłem światło, jedną ręką zasłaniał oczy, a drugą miał wyciągniętą nad stołem, jakby odpychał zjawę. Siedział na krześle odsuniętym od stołu co najmniej o pół metra. Spojrzałem na Guzika. Spał w najlepszym Reymont siedział na swoim miejscu, trzeci bodaj z kolei od Guzika, z lewej strony. Żadnego wzruszenia na jego twarzy nie zaobserwowałem.

Wszyscy zwrócili się w stronę majora, dopytując się z zaciekawieniem o powody zachowania się jego, jak się bowiem okazało, nikt z obecnych żadnej zjawy, poza przebiegającymi świetlikami, nie widział. Odjawszy rękę od twarzy, major zaczął opowiadać jakąś nieprawdopodobną opowieść o zjawie porucznika Franciszka Pększyc Grudzińskiego, który zginął w okresie walk legionowych pod Konarami. W okrwawionym mundurze strzeleckim miał się ukazać na wysokości mniej więcej pół metra nad stołem i, wpatrując się coraz bardziej w niego, zbliżał się coraz bardziej ku niemu, a w ostatniej chwili — przed zapaleniem światła, wyciągnął przed siebie woskowe ręce, które nawet dotknęły twarzy majora.

Uczestników seansu uderzył przede wszystkim fakt wyłączenia się majora z obrębu łańcucha, okazało się bowiem, że major znajdował się poza łańcuchem, a obie osoby — z prawej i lewej strony jego — łączyły się rękami bezpośrednio, bez udziału majora. Nikt, ani sam major, ani wspomniane osoby, nie potrafiły tego faktu wytłumaczyć.

Po tych zeznaniach, które wydały się nam mało prawdopodobne i nie wzbudziły zaufania, Reymont oświadczył, że wprawdzie nie widział opisywanego przez majora osobnika, to jednak w pewnym momencie dostrzegł zarysy jakiejś ciemnej, trudnej do rozpoznania postaci, zawieszonyj nad stołem. Ponieważ zajmował miejsce naprzeciwko majora, przypuszcza, że to właśnie była zjawą owego porucznika, odwrócona tyłem do niego. Z zeznań majora wynikało, że Grudziński wraz z nim brał udział w walkach, które koncentrowały się wokół Konar. Postać porucznika, która rzekomo pokazała się na seansie, miała być silnie oświetlona i major od razu zorientował się, ujrawszy twarz zjawy, że to jest właśnie Grudziński. Po skonfrontowaniu zeznań majora z zeznaniami pozostałych uczestników seansu, ustalono, że poza nim jednym nikt zjawy Grudzińskiego nie widział, a zeznania Reymonta dość mgliste i chwiejne, a nawet sprzeczne, nowych szczegółów do sprawy nie wniosły. Rozmawiając później z uczestnikami tego nieudanego właściwie seansu, doszedłem do wniosku, że major padł ofiarą jakichś przywidzeń halucynacyjnych, a Reymont, który był z natury mitomanem, podtrzymywał majora w jego niewątpliwych urojeniach, byleby całemu wydarzeniu nadać pozory niezwykłości.

W parę dni potem podzieliłem się moimi uwagami z Lorentowiczem, który przyznał mi rację, zaznaczając, że z podobnymi objawami spotykał się u Reymonta niejednokrotnie i z reguły nie brał na serio jego relacji, popieranych zapewnieniami aż do słowa honoru włącznie, o jakichś, mało prawdopodobnych wydarzeniach, o których Reymont dość często lubił opowiadać.

W kilka tygodni po opisanych wypadkach odwiedził mnie Reymont w Związku Literatów. Szło o jakieś zaświadczenie z pieczęcią związkową. Sam nawiał na do seansu, w którym braliśmy udział. Twierdził, że Guzik to wykołojony i zdeklasowany (dostawia) osobnik, który może kiedyś i dysponował właściwościami mediumicznymi, ale teraz nie przedstawia dla spirytystów żadnych walorów.

— Ale przecież pan mówił, — ośmieliłem się zwrócić uwagę — że jakaś zjawą, a przynajmniej jej kształty były widoczne nad stołem...

— Tak, tak! Wcale się tego nie wypieram... Widziałem na własne oczy — odpowiadał. — To są jakieś resztki dawnych możliwości mediumicznych, które jeszcze kolaczą w Guziku — a

po chwili dodał, jakby kontynuując tok myśli:

— Zresztą dziś to faktycznie lachman, a przy tym podobno pije i jeśli tak jest, to można być narażonym i na kandy z jego strony. Eusapia Palladino — to dopiero było medium! Absolutna analfabeta — nie pisała, ani nie czytała, ale czego się nie oglądało, jakich zjawisk bywało się świadkiem w czasie tych niezapomnianych seansów. Szafy spacerowały po pokojach niczym ludzie, stoły przesuwały się z jednego krańca mieszkania na drugi, pokazywały się zjawy... ale jakie!... wręcz fantastyczne, a przynajmniej nie spotykane w rzeczywistości. Brałem udział w jednym takim seansie w Paryżu. Był na nim i Flammarion, i nigdy tego nie zapomnę. Eusapia nie żyje, umarła przed paru laty, ale nie sposób pogrzebać pamięci o tych zjawiskach, jakie oglądało się na własne oczy. Toż to była sensacja nad sensacją! Cała Francja, co mówię, cała Europa nią żyła!

Przy jakiejś okazji opisałem Lorentowiczowi przebieg rozmowy ostatniej z Reymontem. Z początku zaśmiewał się do łez. Później się zachnął i rzekł:

— Wszystko nieprawda — od początku do końca! Nie był na żadnym seansie z Palladino. Owszem wiem, że zabiegał usilnie o to, poruszając co znakovitsze osobistości z kolonii polskiej, aby umożliwiono mu wziąć udział w tym seansie. Niestety, Sabatier i Flammarion, którzy należeli do komisji badającej zespół zjawisk i objawów spirytystycznych występujących na seansach z Eusapią Palladino, nie zgodzili się na udział osób postronnych i Reymont, jak nieprzyjaciół, musiał się z tym pogodzić. Przez cały czas pobytu w Paryżu, mniej więcej od końca 1896 roku, mieszkał stale ze mną i o każdym jego kroku, bądź o wydarzeniu szczególniejszego znaczenia, wiedziałem najlepiej, gdyż z natury Reymont był gadułą i chętnie zwierzał się przede mną prawie ze wszystkim. Marzył, tak jest — marzył, aby wybrać się na seans z Eusapią, ale to się nie udało!

— Może jednak w parę lat później, — wtrąciłem — gdy przebywał już sam w Paryżu, udało mu się zrealizować to marzenie...

— To niemożliwe, — odparł Lorentowicz — Eusapia Palladino dość wcześnie wycofała się z czynnego życia, przestała brać udział w seansach i osiadła w rodzinnej wsi, nie udzielając się nikomu... — a zauważywszy widocznie u mnie przebłysk wątpliwości, czy niedowierzania, zaczął opowiadać:

— Panie Edwardzie! Przecież Reymonta znam nie od wczoraj... Parę lat

ZARÓWNO Dni Oświaty, Książki i Prasy, jak i jubileusze wielu wydawnictw, dowodzą niezbicie, jak wiele dokonano po wojnie w dziedzinie upowszechniania książek, które — może jeszcze nie w pełnym zestawie tytułów — docierają przecież do małych osiedli, miasteczek i wsi. Niedawno właśnie „Nasza Księgarnia” obchodziła swoje dwudziestolecie. Oczywiście było się i czym pochwalić. 3876 tytułów i ponad 160 mln egzemplarzy — to na pewno niemały dorobek. Ale właśnie, biorąc pod uwagę bezsporne zasługi tego wydawnictwa, nasuwają nam się uwagi ogólniejszej natury, dotyczące twórczości dla dzieci w ogóle. Idzie nam o pewne niepokojące zjawiska, dające się zaobserwować w wielu książkach dla dzieci (zwłaszcza tych, które wychodzą poza „Naszą Księgarnię”) jak i o programach radiowych i czasopismach dla najmłodszych czytelników.

Wadą naczelną dużej ilości tych pozycji jest staroświecczość, kierująca wyobraźnię dziecka do przeżytych już relikwów nie istniejącej rzeczywistości, natręctwo języka gwarowego, mino-deria pseudopoetyka i po prostu łatwizna lub nieporadność formalna wielu utworów pisanych prozą i wierszem. Mamy oczywiście znanych i uznanych autorów zajmujących się twórczością dla dzieci, ale również wielu niewydarzonych „speców” od naiwnych rymowanek i prymitywnej gawędy. Oto np. mała próbka utworu radiowego (piosenka).

Nasze miasteczko, nasze miasteczko
ma domków sto!
W cukierni bezy,
górze ich leży,
za szybą — o!
Rynek i ratusz
każdy z nas ma tuż
trzy kroki wzdłuż (?)
Poczta, apteka
Mecz co niedziela zaprasza nas (!)

WILLIAM SHAKESPEARE

Sonet XVII

Who will believe my verse...

Kto da wiarę mym strofom w ten czas co nadejdzie,
Gdy będą jako pustyń ogromne przestrzenie,
A nawet, Bóg mi świadkiem, takim grobem też, gdzie
tych talentów niezwykłych zarzę wspomnienia.

Jeśli mógłbym ócz piękno utrwalić w opisie
i wdziękiem Twym wystawić pomnikowy kamień,
To i tak wielu powie: — Któż uwierzy dzisiaj
w takie cuda!... — ten poeta kłamie.

Może z czasem poślólną me paplery właśnie
i będą traktowane jak klechdy mityczne
Lub nawet pogardzane tak jak starców baśnie,
Lecz dla Ciebie zadźwięczą niby pieśń antyczna.

Ach gdyby Twych talentów dzieleć wówczas było
To byłoby w Twym dziele i w mej pieśni żyło.

Z oryginału przełożył Wacław Gralewski

spędziliśmy pod jednym dachem. Bywało, że zgłaszał czasem zastrzeżenia do takich czy innych moich wypowiedzi, które uważał widać za zażyty radykalne, ale na ogół miał do mnie pełne zaufanie i o wszystkim opowiadał, a właściwie spowiadał się... I to nie tylko ze swoich przygód miłosnych na bruku paryskim, ale i z rozmów prowadzonych np. z Romanem Dmowskim, czy innymi matadorami prawicy, przebywającymi na emigracji. Z nimi zresztą najchętniej przestawał i nie tylko przestawał, ale i przyjaźnił się. Mnie natomiast uważał za osobę bliską i zaufaną, powiem nawet więcej: cenil moje zdanie i liczył się z nim. Może mu i trochę imponowałem swoją wiedzą i wykształceniem, bo sam ich nie posiadał, co niestety było skonstatować po zamianieniu z nim paru zdań. No, cóż — był to samorodny talent pisarski o niezwyklej potencji, który rozwijał się po prostu w moich oczach i to w fantastyczny wręcz sposób. Rozsadał go po prostu siłą odśrodkową. Napatrzyłem się w życiu na ludzi różnego pokroju, od najprostszyc natur do najbardziej skomplikowanych, ale Reymont jest dla mnie fenomenem, jako organizacja pisarska. Z takim okazem spotkałem się po raz pierwszy i wydaje mi się, że nie będę miał już okazji, by zetknąć się z drugim, podobnym do niego osobnikiem. Brak wykształcenia z jednej strony, olbrzymi talent pisarski — z drugiej, niecodzien-

ny dar obserwacji, wyjątkowa zdolność podpatrywania ludzi, nie tylko działających w pojedynkę, ale i w masie, w tłumie. A obok tego rzadko spotykany zmysł kompozycyjny, który użytkowywał nie tylko w swoich utworach, ale i w życiu. Stąd skłonność do koloryzowania, przeinaczania faktów i wydarzeń, a nawet do ich zmyślenia. Ulegając wysokom wyobraźni, podporządkował jej w pewnym stopniu swe mało urozmaicone życie i zmyślał, ile się dało. Później, wskutek wypadku, jakiemu uległ w katastrofie kolejowej pod Włochami, otrzymał wysokie na owe czasy odszkodowanie od Zarządu Kolei Warszawsko - Wiedeńskiej, bo liczące czterdzieści tysięcy rubli i stał się od razu bogatym człowiekiem. Byli tacy, co twierdzili z całą pewnością, że ta utrata zdrowia, za którą otrzymał wspomnianą kwotę, była sfingowana, że rolę dotkniętego wstrząsem nerwowym pasażera odgrywał pierwszorzędnik, ale to — inna sprawa i właściwie nie ma znaczenia, czy było tak, czy inaczej. A złośliwów i zazdrośników — wiadomo — nawet śnić nie trzeba! Mając tak znaczną fortunę, okazał nagle poczucie rzeczywistości, zaczął obracać posiadaną gotówką i — trzeba powiedzieć — szczęście mu sprzyjało. Grosz lgnął do grosza. W ten sposób jedną majątność nabył na Pomorzu, drugą — w Poznańskim.

Edward Kozikowski

nikt z nas nie czeka,
zjadł bezy już (?)
Park, karuzela —
Zegar na wieży,
który nie mierzy
w ogóle czas (!)
Serpentina uroczą
zawieszona u zbrocza,
ale spacer tą drogą
nie pociągał nikogo,
żmudna, długa wspinaczka
kto szedł, wracał jak kaczka (?)

POGLĄDY I PRZEGLĄDY

A dzieci czytają...

JERZY GEMBICKI

Więc nikt nie szedł i tyle
Czasem tylko motyle
przefrunęły nad ścieżką,
że aż było niebiesko.
I tak oto miasteczko
żyło sobie nad rzeczką.
Miało dosyć wszystkiego (?)
Głos dziecięcy: Zwłaszcza ciastek
— Smaczno!

Oczywiście przykłady można by mnożyć. Ale chyba nie warto. Kto ma dzieci i czyta im różne książeczki i tygodniki, orientuje się, że zarzuty tu czynione nie są glosowne. Wydaje nam się, że nie dość uważnie śledzi się twórczość dla dzieci i młodzieży, że jeszcze nie dość kompetentne grona redaktorów kwalifikują utwory do druku, a ponadto za mało robi się w dziedzinie zachęcenia do tej twórczości wybitnych naszych poetów i prozaików. (Pozytywnym przykładem może tu być

np. Tadeusz Kubiak, Wiktor Woroszyński, Artur Międzyrzecki, Julia Hartwig, Jerzy Broszkiewicz). Niestety, dość często autorzy parają się wyłącznie pisaniem dla dzieci popadają w sztaмпę i oklepki, odbiegając całkowicie od tematów rzeczywistości istniejącej w kręgu zainteresowań małego czytelnika. Nie mamy nic przeciw krasnalom, lecz powielanie w nieskończoność krasnalowych banałów staje się już nieznośne.

Nie wydaje nam się, aby 10% (na 160 mln egzemplarzy „Naszej Księgarni”) poświęconych technice i popularyzacji nauki oznaczało zbyt duży odsetek. Ponadto zbyt mało tematyki współczesnej, spraw i rzeczy z otaczającego dzieci świata, w którym żyją, przedostaje się do utworów dla najmłodszych. I znowu nic nie mamy przeciw kwiatkom, ptaszkom, kurkom i krówkom, ale utrzymanie proporcji między przedmiotami współczesnej cywilizacji a wiejskim podwórkiem, domaga się bardziej przemyślnych redakcyjnie planów wydawniczych. Ta, z konieczności felietonowa, dość ogólnikowa krytyka opiera się na wielu przeczytanych i przesłuchanych utworach dla dzieci. Podejmując przecież ten temat mieliśmy na uwadze, naszym zdaniem, sprawę podstawową: lekceważący stosunek prasy codziennej i periodycznej wobec twórczości dla dzieci i młodzieży. Recenzje z książek dla najmłodszych są rzadkością, nie widuje się też artykułów pogłębiających problematykę tej twórczości, nie spotyka się żadnych wyników z przeprowadzonych badań w środowiskach dzieci i nauczycieli. To przemilczanie jest na pewno szkodliwe. Z jednej strony bowiem nie zachęca pisarzy do podejmowania prac w dziedzinie twórczości dla dzieci, sprzyjając ponadto rozwojowi nie kontrolowanej przez krytykę grafomanii. Zbyt jesteśmy zasugerowani piękną szatą graficzną wydawnictw dziecięcych, nie badając treści poszczególnych pozycji. Najwyższy czas, żeby o tym pomyśleć.

Narodziła się we wsi Krasne

Konsp. Pow. Rada Narodowa w Zamościu powstała we wsi Krasne (IV. 1944 r.). Z lewej: Henryk Sidor — Krasne, Katarzyna Nizioł „Zabka” — Krasne, Jan Gorzkowski — Ujazdów, Stanisław Dudek „Zuk” — Krasne, Józef Tront — Chomećka, Edward Dubel — Zamość, Jan Szalata — Średnie Duże.



(Dokończenie ze str. 1)

wona Partyzantka”, „Bojowa Organizacja Ludowa”, „Robotniczo-Chłopska Organizacja Bojowa” i inne lewicowe ugrupowania partyzanckie, które uznały program PPR, włączone zostały w skład Gwardii Ludowej.

Grupy partyzanckie GL Lubelszczyzny rozrastały się w liczne oddziały nękające wroga. Nie omawiam zbrojnych wystąpień dokonanych przez nie w tym czasie. Zatrzymam się tylko nad sprawami mającymi bezpośredni związek z Zamojszczyzną, niszczoną barbarzyńsko i pacyfikowaną przez oprawców III Rzeszy¹.

Tuż po nowym 1943 roku we wsi Karpówka, w powiecie krańickim, zapada decyzja kierownictwa Partii i dowództwa GL o wysłaniu oddziałów partyzanckich na pomoc walczącej Zamojszczyźnie².

Zgodnie z tą decyzją w miesiącu lutym 1943 roku z baz w powiecie krańickim na ziemię zamojską wyruszyły oddziały GL. Stanowiły one tzw. „Grupę Operacyjną Zamojszczyzny” dowodzoną przez Grzegorza Korczyńskiego, ps. „Grzegorz”³.

Po rozlokowaniu się partyzantów GL w lasach południowej Zamojszczyzny rozpoczął się nowy etap walki z wrogiem. Leciały w górę pociągi jadące na front, pionęły tartaki pracujące dla potrzeb niemieckiego przemysłu, likwidowano administrację okupanta, toczono walki zbrojne z hitlerowskimi ekspedycjami karnymi.

W okresie od lutego do sierpnia 1943 roku oddziały GL wchodzące w skład „Grupy Operacyjnej Zamojszczyzny” wykonały ponad 50 większych akcji na ziemi zamojskiej.

Planowe i częste akcje dywersyjne oddziałów GL budziły zaufanie do organizatorki odwetu — Polskiej Partii Robotniczej⁴. Komórki jej powstały w folwarkach, wioskach, osadach i wszędzie, gdzie budziła się chęć walki ze zniechęconym wrogiem. Ludzie pracy wychodzili jej na spotkanie. W Marcinówce, Wiszenkach, Krasnem, Nieliszu, Obroczy, Łatyczynie powstały rejonu PPR i Gwardii Ludowej. W północno-wschodniej części Zamojszczyzny wiosną 1943 roku utworzono Podokręgowy Komitet PPR. Siedziby jego

zmieniane często ze względów bezpieczeństwa mieściły się w Zalesiu, Wysockiem, Olszance, Marcinówce, Kukawce. Komendantem oddziałów GL Podokręgu nr 2 był Józef Małysz, ps. „Marek”. W północno-wschodniej części Zamojszczyzny działał również oddział GL im. Feliksa Dzierżyńskiego, dowodzony przez Konstantego Mastalera, ps. „Stary”.

W noc sylwestrową 1943/1944 roku powstała w Warszawie Krajowa Rada Narodowa. Utworzenie KRN rozwinęło dalszy etap walki polskich mas pracujących o narodowe i społeczne wyzwolenie. Przed Partią i organizacjami politycznymi, które weszły w jej skład, stało jako jedno z głównych zadań tworzenie konspiracyjnych rad narodowych w terenie. W lutym 1944 roku we wsi Rudka Kijańska powołano do życia Konspiracyjną Wojewódzką Radę Narodową w Lublinie. W kwietniu tegoż roku we wsi Krasne, zamojskiego powiatu powstała Konspiracyjna Powiatowa Rada Narodowa w Zamościu⁵.

Powołana wówczas rada narodowa składała się z następujących przed-

stawicieli: Stanisław Dudek — PPR i AL, Edward Dubel — PPR i AL, Jan Gorzkowski — PPR i AL, Katarzyna Nizioł — PPR, Henryk Sidor — PPR i AL (młodzieżowiec), Józef Tront — SL i BCh, Jan Szalata — SL i BCh, Józef Halasa — SL i BCh.

Powiatowa Rada Narodowa, której przewodniczącym został były KPP-owiec, organizator Komitetu Powiatowego PPR w Zamościu — Stanisław Dudek, ps. „Zuk”, nawiązała kontakt z Wojewódzką Radą Narodową w Lublinie. Posiedzenia Powiatowej Rady Narodowej odbywały się w Krasnem, Siedliskach i Zamościu przy ul. Młyńskiej.

Wreszcie przyszła chwila wyzwolenia. Partyzanci AL z rejonu Skierbieszowa (Podokręgu AL nr 2) pod dowództwem Józefa Małysza, ps. „Marek”, oraz partyzanci AL i BCh z rejonu Krasnego, Chomećka, Złojca i Nielisza z Powiatową Radą Narodową na czele wkroczyli do Zamościa.

W Ratuszu władzę powiatową zgodnie z planem „Burza” objęła już delegatura rządu londyńskiego na czele z delegatem „Sandomierskim”⁶.

Dalszy etap działalności Powiatowej Rady — to walka o objęcie władzy, usunięcie delegatury rządu londyńskiego i stworzenie własnego aparatu administracyjnego.

Jednakże realizacja wspomnianych zadań była mocno utrudniona; na skutek istnienia dwuwładzy pewna część społeczeństwa uległa dezorientacji politycznej. W tej sytuacji należało działać szybko i energicznie. Powiatowa Rada przy pomocy własnych zbrojnych oddziałów dokonała zajęcia pierwszego piętra Ratusza i rozpoczęła pertraktacje z „Sandomierskim”. Ponieważ nie przyniosły one pozytywnego wyniku, gdyż „Sandomierski” nie chciał uznać PKWN i żadnej władzy polskiej poza tą, którą reprezentował, Powiatowa Rada Narodowa odwołała się do społeczeństwa.

Zorganizowany przez nią wiec, na który przybyło około 20.000 ludności z terenu miasta i powiatu, przeżył szalę na korzyść Powiatowej Rady

Nobliwe hobby

CECYLIA BŁOŃSKA

„Nie ma piękniejszych mebli od dobrych książek” — powiedział zmarły w 1845 roku Sydney Smith. Aforyzm ten być może przypomnieli się niejednemu ze zwiedzających wystawę artystycznej oprawy książki w wykonaniu Ryszarda Ziembę, z jaką z okazji Dni Oświaty Książki i Prasy, a także i zbliżających się Dni Rzeszowa, wystąpiło tutejsze Muzeum Okręgowe.

Zbiór dzieł literatury pięknej, polskiej i światowej, książek fachowych z dziedziny historii i sztuki, nauk przyrodniczych zadziwia sztuką niezwyklej oprawy.

Książki umieszczone w zabytkowym refektarzu, którego barwne freski, odnowione przed kilku laty, stwarzają dla tej ekspozycji szczególną oprawę. Bogactwu palety anonimowego malarza, twórcy fresków, nie ustępuje różnorodność kolorów, jakimi mieni się oprawy poszczególnych tomów.

Ryszard Ziemia, z zawodu technik geodezyjny, zatrudniony w Rzeszowskim Przedsiębiorstwie Geodezyjnym, zamiłowania introligatorskie żywi od lat najmłodszych, od zajęć praktycznych w szkole, którą ukończył w Sędziszowie Małopolskim. W jego zbiorach przechowywana jest pierwsza książeczka, dla której okładkę własnoręcznie sporządził.

Zanim Muzeum poświęciło niezwykle amatorowi publiczną wystawę, mieliśmy możliwość oglądania zbiorów, a także całej jego pracowni w skromnym mieszkaniu na nowym osiedlu w Rzeszowie.

Ziemia, przedstawiciel młodego pokolenia (ur. w r. 1933), cały czas wolny od zajęć zawodowych poświęca wykonywaniu niezwykle rzemiosła; żona, dwoje małych dzieci z pochwalać godnym zrozumieniem traktują to czasochłonne hobby głowy rodziny. Jeden pokój przeznaczony jest całkowicie na bibliotekę, z której większość pozycji uzyskala od właściciela artystyczną oprawę. Ziemia skrupulatnie gromadzi nowości literatury. Po uważnej lekturze wciąga nową pozycję do fachowo prowadzonego działowego katalogu, myśli nad formą i tworzy okładki. Stąd zapewne oprawy te cechuje harmonia formy, barwy, elementu zdobniczego z treścią. Można by nawet powiedzieć, że są to oprawy w pewnym sensie sugestywne, w jakiś sposób zachęcające również do zgłębienia treści książki.

Obok bibliotecznych regalów, Ziemia zgromadził różnorodne pomoce: prasy większe i mniejsze, narzędzia, którymi się posługuje. Nawet malutki, kryty ganczek wykorzystany jest na przechowywanie czcio-



Fot. A. Hadata

nek drukarskich — niektóre z nich sporządził własnoręcznie — do tłoczenia tytułów. W domowym warsztacie ład, porządek niezwykły. Nic dziwnego, że rzeszowski bibliofil tak skrupulatnie przechowuje swoje narzędzia, stale uzupełniany zapas rozmaitych materiałów, od delikatnych skór do nowoczesnych tworzyw sztucznych i efektownych laminatów, skoro sam przecież musi je sporządzać oraz z własnych funduszy nabywać, gdyż swemu hobby hołduje całkowicie bezinteresownie, a obecna wystawa jest w ogóle pierwszą próbą ukazania jego prac szerszemu ogółowi.

Prezentując go społeczeństwu, kierownictwo Muzeum Okręgowego uczyniło to również z myślą o zainteresowaniu młodzieży szkolnej, często przeciętnej majsterkującej, wciąganej w nurt praktycznych zainteresowań przez postępujący w szkołach proces politechnizacji. Istotnie wystawa ściągnęła liczne wy-

cieczki ze szkół nie tylko z Rzeszowszczyzny, ale i z okolicznych powiatów woj. krakowskiego.

Widzieliśmy też drukarzy, u których trud Ziemię znajduje szczególne uznanie, bibliotekarzy, miłośników książki. Był mi świadkiem rozmaitych propozycji pod adresem artysty-amatora ze strony przedstawicieli wydziału kultury Prezydium WRN, Ziemia w tych rozmowach okazał się miłośnikiem najbardziej bezinteresownym: myśl o rozstaniu się z tym, co własnoręcznie wykonał, wydaje mu się nie do zniesienia.

Równocześnie z wystawą Muzeum wydało obszerny katalog, przygotowany przez kierownika naukowej biblioteki Muzeum, mgr Stanisławę Darlakową, w opracowaniu graficznym plastyczki Krystyny Suss.

W katalogu z opisu opraw i wyklejek dowiedzieć się można dokładnie, jakiego surowca używa nasz miłośnik, jakimi posługuje się technikami. W oprawach w skórę nie skrapli tłoczeń złotem. Oto „Boska komedia” Dantego oprawiona w popielatą cielecą skórę z ornamentem okładek i napisami grzbietów tłoczonymi złotem i czarną folią. „Spiżowa brama” Tadeusza Brzy z oprawą z czerwonej końskiej skóry. Na wyskrobany z liczka skóry tle, ornament tłoczony złotem, folią srebrną i czarną. Na grzbiecie złote napisy. Brzeży kart barwione tuszem czerwonym i popielatym. Sporó trudu, pomysłów, i duża staranność wykonania. Oczom fachowców nie uchodził inny szczegół: ręcznie wyszywane tzw. kapitaliki, dzisiaj już zupełnie nie stosowane, którymi Ziemia wzbogacił oprawy kilku dzieł szczególnej wartości.

Wśród eksponatów wystawy — książka szczególnie dziś cenna i droga bibliofilom: Mieczysława Opalka „Ze wspomnień bibliofila”, wydana we wrocławskim „Ossolineum” w r. 1960. Tego i owego znającego bliżej Mieczysława Opalka, który przez wiele ostatnich lat przebywał na Rzeszowszczyźnie, a następnie, nie mogąc uzyskać odpowiedniego miejsca dla siebie i swych bezcennych zbiorów, zmuszony był przenieść się do Nowego Sącza, do swych dzieci, ogarnia zaduma. Opalek, który tak niedawno jeszcze przyjeżdżał do Rzeszowa ze swą sędziwą żoną, do ostatnich chwil swego życia oddany swej wielkiej pasji — pięknej książce, zmarł niedawno. Jego zgon szczerym smutkiem przeżył tych wszystkich, którzy znali jego miejsce w dorobku polskiej kultury, a równocześnie w sercach i pamięci zachowali obraz człowieka niezwykle skromnego, uroczego, znakomitego gawędziarza.

Wstęp do wymienionego wyżej katalogu wspomina o zasłużonych bibliofilach, dzięki którym mimo olbrzymich strat w okresach wojen, a szczególnie ostatnich, niejedno wartościowe dzieło uratowane zostało dla naszej nauki i kultury.

Czytamy i o tym, że obok amatorskiej twórczej przyjemności, introligatorstwo służy też przedłużeniu życia książki.

Taka ekspozycja, jak wystawa rzeszowskiego bibliofila, spełnia niewątpliwie rolę pokazu wyszukanych sposobów „przedłużenia życia” książki dla jej miłośników, spełnia zadanie lekcji czynnej miłości do literatury — dla młodocianych czytelników.

Narodowej. Członkowie PPR po odbytym wiecu zajęli cały Ratusz, a „Sandomierski” opuścił Zamość. Starosta powiatowy został współzawodniczcą PPR, członek PRN Edward Dubel.

Po objęciu władzy Rada Narodowa przystąpiła do niełatwej pracy. Przez Zamość i wioski przechodziło tysiące osób. Ciągnęły one ze wszystkich stron do swoich dawnych domostw.

Panowało ogólne podniecenie. Na parkanach i domach bojownicy o Polskę Ludową rozlepiali afisze z Manifestem PKWN zapowiadającym reformę rolną, rozbudowę Armii Polskiej, szybkie zakończenie wojny. Czyjeś spracowane ręce pisały na murach „Jeszcze Polska nie zginęła”. Działacze i sktywiści PPR, żołnierze Armii Ludowej, członkowie Powiatowej Rady Narodowej i lewicowi działacze stronnictw politycznych organizowali terenowe ogniska władzy robotniczo-chłopskiej.

Ustanowienie jej 20 lat temu nie należało do rzędu spraw prostych. Było to Wielką Rzeczą — bez fikcji, bez złudzeń, bez romantycznych mrzonek Partia wprowadziła nasz kraj na tory socjalistycznego rozwoju.

Edward Suchora

1. Władze hitlerowskie realizację „Generalnego Planu Wschodniego” opracowaną przez Główny Urząd Bezpieczeństwa III Rzeszy rozpoczęły od Zamojszczyzny. Wstępne wysiedlenie ludności zamojskiej przeprowadzono w listopadzie 1941 roku. W rok później rozpoczął się masowy etap wysiedleńczy Zamojszczyzny (od listopada 1942 roku do marca 1943 r.). Na miejsce Polaków nasiedlano rodziny SS, Volksdeutsche i nacjonalistów ukraińskich. Po krótkiej przerwie akcja wysiedleńczo-pacyfikacyjna została wznowiona w miesiącu czerwcu i trwała do sierpnia 1943 roku. Czerwiec we wszystkich etapach tą potworną akcją objęto 294 miejscowości pow. zamojskiego, hrubieszowskiego, tomaszowskiego, bilgorajskiego — około 110 tysięcy ludzi. Ze 110 tysięcy osób 30 tysięcy stanowią dzieci. Na 40 tysięcy ludności Zamojszczyzny wymordowanej przez hitlerowców przypada na dzieci ponad 15 tysięcy.

2. W dniu 30 grudnia 1942 roku na Zamojszczyźnie I Kompania Kadrowa BCH i oddział partyzantów radzieckich „Włodina” stoczyły walkę z hitlerowcami pod Wójda. W pierwszych dniach lutego 1943 roku partyzanci BCH i radziecy prowa-

dziłi ciężkie walki z żandarmerią pod Zaboreczem, Rożą, Lasowcami i Puszcza-czem.

3. „Grupa Operacyjna Zamojszczyzny” składała się z następujących oddziałów: im. Tadeusza Kościuszki pod dowództwem Andrzeja Flisa, ps. „Maksym”, im. Jarosława Dąbrowskiego pod dowództwem Antoniego Palenia, ps. „Jastrząb”, grupy „Cieniecowa”, oddziału ochrony sztabu Grupy Operacyjnej pod dowództwem Jana Chojny oraz oddziałów partyzanckich składających się z jeńców radzieckich: im. Szczerba pod dowództwem „Włodina” i im. Kotowskiego pod dowództwem „Miszi Katarata”.

4. „Grupa Operacyjna Zamojszczyzny” w szybkim tempie wzrastała liczebnie. W maju 1943 roku liczyła 172 partyzantów, w czerwcu tegoż roku ponad 250, a w lipcu 1943 roku około 400 partyzantów. W omawianym czasie znacznie rozwinęła się sieć organizacyjna komórek PPR i placówek GL w terenie.

5. Powstawanie rad narodowych przypadało na okres wzmożonego nacisku dowództwa AK na podporządkowanie sobie wszystkich członków Batalionów Chłopskich. Powiatowa rada narodowa w Zamościu powstała we wsi Krasne, gdyż w tamtym rejonie były ku temu najbardziej dogodne warunki. Radykalni ludowcy ściśle współpracowali z członkami PPR i AL. W rejonie tym ruch ludowo-jednolito-frontowy miał swe bogate tradycje z okresu międzywojennego. Teren północno-zachodniej części Zamojszczyzny miał bardziej ułatwione kontakty z towarzyszami z sąsiedniego powiatu krasnostawskiego i kierownictwem okręgu nr V PPR i AL mieszczącego się w powiecie krasnostawskim — niż komórki PPR północno-wschodniej części Zamojszczyzny. Wszystkie szosy były patrolowane przez okupanta. W wysiedlonych wioskach polskich mieszkali uzbroszeni kolonisi niemieccy, którzy z całą bezwzględnością zwalczały ruch oporu. Do walki z partyzantami hitlerowcy rzucali całe dywizje SS, wojska pomocnicze i jednostki regularnej armii. Miało to miejsce w lutym i marcu 1944 roku w walkach z dywizją partyzantów radzieckich — „Kowpakowców” w rejonie Krasnobrodu i Kosobud oraz w czerwcu 1944 roku w Lasach Lipskich, Janowskich i Puszczy Solskiej.

6. Kiedy w czerwcu 1944 roku oddziały AL i partyzanci radziecy krwawili się w boju, a oddziały AK i podporządkowane im oddziały BCH dowodzone przez inspektora AK mjr. „Kalinę” (Edward Markiewicz) ginęły pod Osuchami (Niemcy zabili około 1.000 partyzantów AK i BCH), część oddziałów AK w sile około 800 ludzi stacjonowała w lasach zwierzynieckich. Dowodził nimi 2-ca inspektora AK mjr. „Adam” (Stefan Prus). Oddziały te nie przybyły z odsieczą swoim towarzyszom broni, lecz zgodnie z planem „Burza” przygotowywały się do objęcia władzy. Z chwilą wkroczenia do Zamościa Armii Radzieckiej oddziały te stanowią brojne ramię delegatury rządu londyńskiego reprezentowanej przez „Sandomierskiego”.

Na wsi — dom kultury

ZBIGNIEW WAWSZCZAK

NIE wiem, jakie są źródła dużej aktywności społecznej mieszkańców Zarzecza. Powiadają jedni: bogate tradycje, np. teatr amatorski obchodzi w br. 50-lecie swej działalności. Z pewnością, tradycje to już jest coś, ale równocześnie przytoczyć można dziesiątki wsi, gdzie tradycje nie znalazły kontynuacji, po prostu wygasły bezpotomnie. Powiadają inni: ambicje. Zarzecze, ta właścicielka podmiejska osada (5 km od powiatowego Niska) chce przewodzić, chce być na ustach całego powiatu, chce dawać przykład. Być może nie jest dokładnie tak, ale czegoś z tych bardzo zresztą zdrowych ambicji można dopatrzeć się w postawie zarzeczan.

Przybysz dostrzega z miejsca dwa pozostające ze sobą — wydawało by się — w sprzeczności fakty: wyjątkową dynamikę poczyną kulturalno-oświatowych i bardzo kiepskie warunki lokalowe. Prawie trzy lata funkcjonuje we wsi gromadzki ośrodek kultury. Osiągnięcia, jakie stały się jego udziałem, muszą zdumiewać, gdy stwierdzimy, że ma on do swej dyspozycji jedną, dosyć obszerną izbę i małe pomieszczenie (12 m²) dla biblioteki.

Biblioteka wraz z czytelnią stanowią podstawę ośrodka kultury. Wokół niego ogniskuje się dosyć zróżnicowana działalność kulturalno-oświatowa. Z mniejszym lub większym powodzeniem pracują tutaj amatorskie zespoły artystyczne: teatralny, recytatorski, estradowy, kapela, oraz zespoły o charakterze oświatowym: czytelniczy, przysposobienia rolniczego, rozmaite kursy. W jedynej sali (ok. 25 m²) odbywają się próby większości zespołów, tutaj też zwoływane są wszystkie zebrania organizowane przez GRN, POP, ZSL, LOK, Koło Gospodyń Wiejskich, ZMW itp. Sala ponadto pełni ma funkcję klubu telewizyjnego, a także czytelni.

Nawet przy najlepszej organizacji świetlicy ta nie mogłaby spełnić należycie życzeń wszystkich użytkowników. Gdy przygotowano komedię Dybowskiego „Zapora”, inne zajęcia musiano przerwać. Po prostu wyprószone z sali obecnych, pozostali jedynie członkowie teatru amatorskiego. Rzecz interesująca: ludzie znajdujący się w tak mało sprzyjających warunkach nie zniechęcają się, nie rezygnują (przynajmniej nie wszyscy) z podjętej pracy. Ale wydaje się, że działalność społeczna w Zarzeczu osiągnęła swój szczyt i dla dalszego rozwoju konieczne są tu jakieś częściowe przynajmniej zmiany.

Zarzecze nie dysponuje wolnymi lokalami. Przynajmniej tak to wygląda na pierwszy rzut oka. Są jednak pewne rezerwy. Dyrektor miejscowego POM oświadczył, że posiada dwie izby, w których z powodzeniem zmieściłby się klub-kawiarnia. Oczywiście

tegoroczne Dni Oświaty, Książki i Prasy stały się dobrą, pięknie brzmiącą uwerturą do tej poważnej pracy — że stały się taką uwerturą dla wszystkich naszych działaczy i pracowników aparatu k.o.

Jesteśmy więc w okresie niezwykle poważnej, odpowiedzialnej ogólnonarodowej i ogólnopaństwowej kampanii kulturalnej. Wykonanie jej programowych założeń jest uzależnione od wagi, znaczenia, słowem od poziomu owych tysięcy i więcej wieczorów w klubach i domach kultury, bibliotekach i salach odczytowych. Działacze i pracownicy kultury winni pamiętać, że niezbędny jest udział pisarzy i artystów, polityków i publicystów, tych wszystkich, których wiedza, doświadczenie i nade wszystko dobra wola zagwarantuje dotarcie ważnych treści do milionów odbiorców w miastach, miasteczkach, na wsi.

Chodzi o to, by prawda o dorobku kulturalnym dwudziestolecia znalazła godną siebie reklamę. Barwną jak czerwcowe kwiaty i równie jak one naturalną.

Bolesław Bartoszewicz

cie, nikt już dzisiaj nie jest skłonny podzielać przekonania, że klub-kawiarnia będzie środkiem na wszystkie kłopoty Zarzecza. Ale właśnie w warunkach tej wsi może ona spełnić swoją rolę.

Powstanie klubu-kawiarni, która będzie mogła odciążyć lokal świetlicy, jest sprawą najbliższych tygodni, lecz na dalszą metę konieczne jest opracowanie długoplanowych rozwiązań. Sytuacja Zarzecza nie jest łatwa. Na plan pierwszy wysunęła się obecnie sprawa szkoły. Dotychczasowy stary budynek jest już za mały; wieś społecznym wysiłkiem podejmuje budowę 11 nowych izb lekcyjnych. Ludność opodatkowała się, zgromadziła część materiałów, deklaruje wiele świadectw w robociznie. Nie sposób więc obecnie myśleć o budowie własnego, wiejskiego domu kultury, ale w przyszłości...

Jest to zresztą problem, który w całej ostości stoi nie tylko przed Zarzeczem. Bardzo wiele wsi w Rzeszowskim nie posiada lokal na działalność kulturalno-oświatową.

W ostatnich latach obserwujemy ogromne zainteresowanie tymi sprawami i idący za nim wprost imponujący rozmach czynów społecznych. Własnymi środkami wiele miejscowości wniosło różnego rodzaju placówki kulturalne: w bieżącym roku kontynuowana będzie w Rzeszowskim budowa 67 obiektów tego rodzaju. Na pierwsze miejsce wysuwa się tu powiat krośnieński z liczbą 16 społecznych inwestycji kulturalnych.

Nie trzeba podkreślać, jak doniosłe znaczenie mają tego rodzaju fakty, jak pomagają w procesach awansu cywilizacyjnego. Niestety, wiele środowisk wiejskich nadal znajduje się jeszcze poza zasięgiem tych przemian.

Oczywiście, byłoby nieracjonalną mrzonką nakłanianie wszystkich osad, wsi nie posiadających odpowiednich lokalni na cele społeczno-kulturalne, aby natychmiast przystąpiły do ich budowy. Potrzebnych na to środków nie można zebrać jednorazowo, wymaga to różnorodnych zabiegów. Trzeba jednak powiedzieć sobie wyraźnie, że gospodarze poszczególnych terenów muszą już dzisiaj zastanowić się nad rozwiązaniem tych spraw w najbliższych latach.

W aktualnej sytuacji gospodarek kraju zarówno dzisiaj, jak i w najbliższych latach, podejmowanie nowych inwestycji kulturalnych opierać się może wyłącznie o własne środki. Co może ułatwić gromadzenie tych środków? Muszę się tutaj posłużyć magicznym słowem: koordynacja! Zespolenie rozproszonych wysiłków, gromadzenie złożeń do wspólnej sakiewki, rozsądne pokierowanie pracą społeczną przyniesie może doskonałe rezultaty. O przyszłości osady, wsi muszą wspólnie myśleć wszystkie organizacje, instytucje działające w danej miejscowości.

Wróćmy tu chociażby do przykładu Zarzecza. Nie ludźmy się, że Gromadzka Rada Narodowa potrafi sama rozwiązać sytuację. Ale już współdziałanie Rady z POM, Gminną Spółdzielnią, Strażą Pożarną — stwarza zupełnie inne perspektywy. Trzeba, by organizacje te widziały swą rolę w kształtowaniu przyszłości Zarzecza, by rozumiały, że przyszłość ta w decydującej mierze znajduje się w ich rękach.

W całym kraju toczy się obecnie wielka dyskusja przedzjazdowa. Partia przedstawiła kierunki rozwoju kraju i odwołuje się do całego społeczeństwa, by włączyło się w nurt rozmowy o przyszłości kraju. Chodzi o to, by przemysł, poddane wielostronnej analizie założenia, plany — oparte zostały na najlepszych rozwiązaniach.

Tezy zjazdowe zajmują się również problemami kultury na wsi, podkreślając ogromne znaczenie koordynacji środków przeznaczonych na działalność kulturalną.

Nie wątpię, że również w Zarzeczu podobnie jak i w dziesiątkach innych wsi rozsądna koordynacja zamierzeń i środków przyniesie pożądane rezultaty, spowoduje, że na wsi, jeszcze szybciej aniżeli dotychczas, powstawać będą domy kultury.

O czerwcowych kwiatach i pięknej uwerturze

(Dokończenie ze str. 4)

nie próbują nawet zarejestrować wszystkich wydarzeń terenowych, pozostawiając całą inicjatywę samym zainteresowanym, chwając ich za pomysłowość i za entuzjazm. Wszystkie owe lokalne inicjatywy i przedsięwzięcia są natury społecznej. Wiemy, że rozwinęły się one zwłaszcza w ostatnim siedmioleciu, kiedy dzięki nowej polityce kulturalnej stworzone zostały u nas szczególnie dogodne warunki dla tego rodzaju twórczego działania. W ten sposób spełnia się równocześnie poważny postulat ludowej władzy, która oczekuje od czynnych i uczynnych środowisk nowych dowodów zaangażowania się w sprawy kraju, regionu, własnej okolicy.

Czy wszyscy działacze kulturalni umiemy w pełni szansę tę wyzyskać, czy wszędzie u nas osiągnięto najwięcej? Życie pokazuje, że jest co postuluwać. Ze wskutek całego zestawu powodów rozwój naszego kraju w dziedzinie kultury nie jest jeszcze tak równomierny, jakby można tego oczekiwać w tych sprzyjających okolicznościach. Dlatego ważne są wszystkie przedsięwzięcia, stanowiące nowe okazje do czynu. Bo do imponujących liczb możemy wtedy dodawać nowe. Chodzi tylko o to, by owe nowe okazje nie były okazjami do zrywów i jednorazowych uroczystości, po których przyszyje — jak już podkreśliłem na początku tej relacji — zapominanie nawet o sprawach podstawowych. Rzecz w tym, by rozpoczynały one działalność stałą i systematyczną. By stwarzały nowe —

jak to u nas słusznie się mówi — trwałe fakty kulturalne.

I właśnie majowe Dni Oświaty, Książki i Prasy były taką kolejną ważną okazją do czynu. Podczas tych Dni nie tylko sprzedawano książki na straganach, które następnie najzwyczajniej w świecie rozebrano, nie tylko urządzono więcej niż kiedy indziej spotkania pisarzy z czytelnikami. Otwierano również nowe placówki kulturalne, wśród nich zaś tak bardzo cieszące ludność wiejską kluby książkowe i prasy „Ruchu”. Na zakończenie tegorocznych DOKIP było tych klubów w całym kraju już 3 tysiące. To jest coś! To się liczy! Musimy więc uświadomić sobie, że powstanie nowych faktów kulturalnych oznacza po prostu nowe zadania dla setek tysięcy znanych i nieznanymi, lecz pełnych poświęcenia, działaczy kulturalnych. Zadania, które bynajmniej nie skończyły się wraz z Dniami OKIP. Wręcz przeciwnie. Teraz dopiero trzeba owe zadania rozwiązywać — w codziennej uporczywej pracy. Inaczej trafne i celowe hasła tegorocznych dni kultury polskiej nie będą urzeczywistnione. Wydaje się to tak oczywiste, że aż nie warto o tym mówić. A jednak my wszyscy, którzy uczestniczyliśmy w różnych spotkaniach, obchodach i uroczystościach, wiemy, że apel taki jest potrzebny.

Potrzebny jest szczególnie teraz, gdy jesteśmy niejako na początku obchodów Dwudziestolecia. Gdy jesteśmy w okresie Zjazdu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, który sumuje nasz dorobek we wszystkich dziedzinach życia narodu i wytycza zadania na przyszłość. Ogół naszych działaczy kulturalnych winni pamiętać, że ich obowiązki w tym okresie zwiększają się poważnie. Winni oni zrobić wszystko, ażeby w placówkach k.o. — i tych pracujących od dawna, i tych nowo otwartych — spopularyzowany został wielki nasz dorobek w dziedzinie rozwoju szkolnictwa, upowszechnienia wiedzy, literatury i sztuki. Dorobek ten w mijającym dwudziestolecu to rezultat polityki kulturalnej Partii i państwa ludowego. Mieć trzeba nadzieję, że

LUDZIE nad BAGNAMI

(Notatki
z jednej wsi białostockiej)

EDMUND SKARZYŃSKI

— Zdrowaś Mario, łaskiś pełna... Jednostajnie wypowiadane słowa napelniają izbę mrużeniem.

— Tadek, Kazik — do cholery jasnej, przestańcie się wiercić — rozległ się groźny głos ojca.

Dwaj chłopcy kłęczą przy łóżku i niecierpliwie spoglądają na matkę, która w pokornym skupieniu wypowiada każde słowo modlitwy. Ojciec opiera się o kant szafki i jednym kolaniem dotyka podłogi. On też chciałby, żeby to się już skończyło, ale nie wypada mu okazywać znużenia.

Wstają. Głowa rodziny pierwszy bierze łyżkę. Chłopcy rzucają się na jedzenie jak zgłodniałe wilczki. Potem chwytają tornistry i biegną do szkoły.

— Tylko mi się nie szwendajcie — przestrzega ojciec. — Po lekcjach, natychmiast do domu. Wieczorem jedźmy do lasu po drzewo.

— Tato — odzywa się młodszy Tadek. — Przecież to nie nasz las, jeno państwowy.

— To co, że państwowy — odpowiada stary. — Placę podatki? Placę. Możemy brać. Wielka mi rzecz te parę gałęzi. Ale gdyby was ktoś pytał — mordercy w kubał. Niebezpieczny jest szczególnie Kotowski. Zaraz poleciałby na posterunek. Złóżcie ma od czasu, gdy podałę go na kolegium za te szkody w kapuście... Jego wino, że bydlaków nie pilnował...

— Emilia — zwrócił się do żony. — Jutro jedziemy na targ do Zambrowa. Ile masz jajek? Barcikowski prosił, żeby mu kupić mutry do kół, ale pieniądze nie dał. Przywiozę, a on powie — kochany Teofilku, zapłacę, jak sprzedam wieprzki. Diabła tam. Lepiej powiem mu, że nie było na składzie. Wiem, kiedy mi zapłaci?

— Chcesz na targ jechać, a przecież jutro zebranie. Soltys mówił, spółkę wodną chcą zakładać. Ta z gromadzkiej rady... wiesz, Kotowska... mówiła, że spółka wodna będzie dbać o łąki. Więcej nawozów dostanie i nasiona traw. Teofil, poszedłbyś, posłuchał.

— To co, że zebranie. Targ ważny. Chłopaki chcieli jechać.

— Odlóż na tydzień. Jajek więcej uzbieram. A ty owsa byś oczyścił i wziął na sprzedaż. Trzysta złotych placą za metr. Chłopcy nie mogą lekcji opuszczać, koniec roku się zbliża...

— Gadanie... Ja stałe z ojcem swoim jeździłem po jarmarkach. Pamiętam, na targ koński do Tykocina jechało się całą noc. Nikt o szkole nie myślał. I co, że na tym wyszedłem? Ziemię mam, dwa konie, gotówki zgarnę za trzy świnię, za mleko biorę ładny grosz...

— Teraz nauka ważna. Janek Biernaczków jest doktorem fizyki. Pracuje w ośrodku atomowym. Jeździł na rok do Ameryki. Gdyby się nie uczył, chodziliby teraz za plugiem, jak jego ojciec. Ja dla swoich dzieci widzę lepsze życie niż nasze. Nawet w rolnictwie nie można tak pracować, jak dawniej. Chodzę na zebrania koła gospodyń wiejskich, dużo ciekawych rzeczy się dowiaduje...

— U nas tak jest — ciągnął — że córki zawsze idą do domu. Synowie zostają. Mój chłopak weźmie po mnie gospodarke. W innych rodzinach podobnie. Chyba, że syn się uczy. Wtedy wyjeżdża do miasta. U nas w Kossakach jest obecnie 14 osób w różnych szkołach. Czworu ukończyło nawet rodzinnej wsi na każdy urlop. Chodzą środkiem drogi, zatrzymują się przy chałupach, opowiadają ludziom, co sly-

chać w szerokim świecie. Oni pracują w mieście. Ale gdyby nie my, nie mieliby chleba. Każdy ma swój warsztat i musi go pilnować. Taki jest podział obowiązków.

— Zaczęłam o weselu, tak? W Kossakach, nie powiem, jest kilku kawalerów z majątkiem. Ziemia jak się patrzy, budynki, inwentarz. Kossakowscy, Kotowscy. Córka moja mogłaby za któregoś wyjść. Ale lepiej dalej... Przyjechał kiedyś do mnie znajomy i mówi, że zna dobrego kawalera w Ostróźnie. Pogadaliśmy, wypiliśmy. To ważna rzecz wydać córkę. Potem pojechałem tam. Dowiedziałem się, ile przyszyli ziemi ma ziemi. Spodobalo mi się. Za jakiś czas przyjechała do mnie jego rodzina. Uzgodniliśmy posag. Oni zbadali opinie panny, czy robotna, i w ogóle... Młodzi przypadli sobie do gustu i wesele gotowe. U nas tak zawsze jest, od niepamiętnych czasów. Tradycja. Ja podobnie się ożeniłem. Wtedy tylko swat wygłaszał długie przemówienie, ładne przemówienie wierszem... I jechało się bryczką w przybrane wstążkami konie. I te śpiewy, muzyka, przebierańce...

DROGA biegnie przez środek wsi. Drewniane domy są niskie, jakby drzemiące. Ostatnia zagroda, dotykająca rozległych łąk, należy do Adolfa Konopki. Niedawno pod same budynki podchodziła woda. Zaby, komary, zapach gnijących kaczek — to był oddech lata. I te katorżne siano, kiedy człowiek zapadał się w grząskie bagna. Obecnie grzęzawiska stwardniały. Koniem wjechać można o każdej porze roku. Melioracja. Dzięki pracom irygacyjnym zanikły bagna, stworzono dobrą bazę pod rozwój hodowli.

Ci, którzy spostrzegli tę nową szansę, szybko z niej skorzystali. Wzięli kredyty w kasie spółdzielczej i zwiększyli pogłowię krów. Za samo mleko biorą ładny grosz. Sieją trawy, stosują nawozy sztuczne, walowanie łąk. Radzą się agronomowi co robić, aby było jak najwięcej „zielonego bogactwa”. Wielu jest takich, którzy teraz na przednówku sprzedają siano do sąsiednich wsi. Właśnie Konopko jest jednym z nich.

W zagrodzonym podwórzu biegają wieprze. Gospodarz nie może ich wzdździć do chlewu. Macha wreszcie ręką i daje spokój. Otrzępuje buty z błota i wchodzi do sieni. Siadamy na drewnianej długiej ławie i rozmawiamy o tym i owym.

— U mnie paszy starca rok w rok — mówi gospodarz. — Jeszcze sprzedaje innym. Siano miałem takie, że kosą nie można było ściągnąć. Dalem, ma się rozumieć, nawozy, zwałowałem, posiałem trawę. Karolina Kossakowska nie robiła nic, toteż nie nie sprzątnęła. U niej w stodole pusto. A przecież łąkę ma ładną, zmeliorowaną, jak wszyscy. Państwo włożyło grube miliony w nasze bagna. Jutro odbywa się u nas zebranie w sprawie zorganizowania spółki wodnej. Ja myślę, że ta spółka skłoni wszystkich gospodarzy do tego, aby łąki były dobrze uprawiane, żeby dawały jak najwięcej drogiego siana...

TEGO ranka przyjechałem do Kossaków Nadbielnych. Wieś, położona w łagodnej kotlinie sprawiała wrażenie dostatej osady, obszerne domy, solidne zabudowania, światło elektryczne. Dalej za brzoźowym zagajnikiem rozciągała się równa płaszczyna. Łąki. Kilkaset hektarów. Figurowały w rejestrach, jako carska darowizna, ale od wieków całych nie przynosiły żadnego pożytku. Grzęzawiska pokryte zielskiem, rozśpiewane kumkami żab.

Te bagna odegrały swoją rolę w historii wsi. Stanowiły strategiczny pas podczas ostatniej wojny. Tędy przebiegała linia frontu. Mieszkańcy opuścili zagrody. Przez trzy miesiące przelatywały pociski. Bagna leżały pośrodku. Były terenem niczym. Niedostępnym, jak zawsze. Nawet dla swych prawowitych właścicieli. Gdy walki przesunęły się dalej i mieszkańcy wrócili do swych domów, Jan Gosk wleciał w powietrze. Bracia Królikowscy zostali ciężko ranni. Jednemu urwało lewą nogę, drugiemu prawą rękę. Myny stały się postrachem, tragicznym piętnem wojny. Marna trawa, jaka rosła na bagnach, czerniała nieskoszona. Nieco później przyjechali saperzy. Wchodzili w środek niebezpieczeństwa i usuwali niemieckie śmiercionośne pułapki. Ale grzęzawiska nadal były niedostępne, pokryte dziką rzeżuchą, pochłaniające do pasa każdego śmiałka. Wokół stały wynędzniałe krowiny i wylizywały do czarnej ziemi resztki trawy. Spoglądali tęsknie na zieloną, niedostępną płaszczynę bagien...

Walka z nieokleiznanymi łąkami i doprowadzenie ich do stanu używalności rozpoczęła się dopiero w 1961 roku. W dwa lata później zakończyła

PPR — szeregi i przywódcy

(Dokończenie ze str. 2)

told”). Włodzimierz Dąbrowski, Ryszard Postowicz (ps. „Murzyn”), Bogdan Parczyński, Franciszek Lipa (ps. „Mały”), Franciszek Mierzwa (ps. „Kruk”) oraz Stefan Kamiński (ps. „Gienek”). Na posiedzeniu tym sekretarzem KP został Franciszek Lipa, komendantem powiatowym GL Stefan Kamiński, a zastępcą komendanta obrony zaocznie Józef Tomasiak (ps. „Ryś”). Nieobecni Feliks Głowacki i Wacław Dobosz weszli w skład Komitetu i jednocześnie do dowództwa Gwardii Ludowej.

Następne posiedzenie KP PPR Puławy odbyło się na początku kwietnia 1943 r. w miejscowości Niezdów koło Opola, w mieszkaniu Bolesława Szafrana. Wówczas to postanowiono dokonać podziału powiatu na dwie części i utworzyć dla nich samodzielne komitety partyjne oraz dowództwa GL. Na zebraniu tym obecny był Hilary Chelchowski — sekretarz Komitetu Obwodowego PPR, Gustaw Alef — Bolkowiak (ps. „Bolek”), Bolesław Szafran (ps. „Tarzan”), Aleksander Ligęza (ps. „Armata”), Wacław Dobosz (ps. „Sep”), Franciszek Mierzwa, Andrzej Wrona (ps. „Kłapa”) i Stefan Kamiński. W kilka dni po zebraniu w Niezdowie powiat puławski pod względem organizacyjnym został podzielony na dwie części: Puławy-Południe i Puławy-Północ.

W południowej części powiatu życie organizacyjne skupiało się w Opolu. Tam też wybrano Komitet Powiatowy PPR Puławy-Południe, którego sekretarzem został Franciszek Lipa, komendantem GL Bolesław Szafran, a jego zastępcą Aleksander Ligęza. Jednakże pełnego składu KP wówczas nie ustanowiono. Pierwszy kompletny skład KP PPR Puławy-Południe ukonstytuował się w lipcu 1943 r. następująco: Franciszek Lipa jako sekretarz (po jego aresztowaniu do początku 1944 r. funkcję tę sprawował Bolesław Ljyak — ps. „Bruzda”), Jan Fijol (ps. „Ryś”), Bolesław Szafran, Jan Bida (ps. „Smyk”) i Andrzej Wrona. W początku 1944 r. sekretarzem KP został Jan Leptuch (ps. „Tlen”), członkami: Józef Jarosz, Bolesław Szafran, Aleksander Ligęza, Jan Bida i Andrzej Wrona. Skład ten pozostał niezmienny do wyzwolenia.

W kilka dni po zebraniu w Niezdowie utworzono również Komitet Powiatowy PPR Puławy-Północ w składzie: sekretarz — Stefan Kamiński, członkowie — Leonard Smolak, Józef Tomasiak, Bronisław Kozak, Aleksander Reszka, Jan Jabłoński, Jan Tudyka i Jan Głos. W 1944 r. skład KP nie uległ zasadniczej zmianie. Dokończono jedynie Stanisława Augustyniaka. Komitet ten przystąpił także do intensywnej organizacji komórek partyjnych.

Z terenu powiatu puławskiego gmina Baranów została wydzielona i organizacyjnie przynależała do Okręgu Prawa Podmiejska Obwodu I Warszawskiego.

Powiat chełmski, mając dwa odrębne działające ośrodki konspiracji lewicowej uważał problem scalenia za najważniejszy. Było to zgodne z kierunkiem prac podejmowanych przez towarzyszy odpowiedzialnych z ramienia Komitetu Podokręgu za pracę partyjną w powiecie chełmskim, którymi byli: Mikołaj Oleksa, Aleksy Filipczuk, oraz Władysław Kowalczyk. Dlatego też odbyła się w Chełmie w pierwszych dniach maja 1943 r. konferencja powiatowa, na której Komitet

się pełnym zwycięstwem. Linie rowów przecięły „grunty niczyje”. Wody spłynęły do Narwi. Przyszły traktory, plugi, ogromne żelazne waly. Potem nawozy sztuczne, nasiona traw. Bagna stały się dobrodziejstwem wsi. Nadal jednak wymagały starania, pielęgnacji, umiejętnej gospodarki.

STANISŁAW Gosk jest soltysem. To on stracił jednego brata na niemieckiej minie. Drugi zginął na przedmieściu Warszawy jako żołnierz Dywizji Kościuszkowskiej. Wyruszył na zwiadowczy patrol i już nie wrócił. Kolejny znalazł go następnego dnia z wylupionymi oczami. Trzeci brat gospodaruje na połowie odziedziczonej ojcowizny. Duży drewniany dom, ozdobiony rzeźbionymi okiennicami,

(Dokończenie na str. 9)

Powiatowy PPR ukonstytuował się w następującym składzie: sekretarz — Arkadiusz Skubij, zastępca sekretarza — Władysław Kowalczyk, skarbnik — Jan Uryn, komendant powiatowy GL — Aleksy Demczuk, zastępca komendanta Jan Jaszczuk, członkowie — Włodzimierz Chul, Stanisław Orłowski i inni, których nazwiska nie są znane. W końcu grudnia 1943 r. w Komitecie Powiatowym nastąpiły pewne zmiany spowodowane odwołaniem do prac w podokręgu towarzyszy: Leona Demczuka, Arkadego Skubija i Władysława Kowalczyka. Na ich miejsce zostali powołani: na sekretarza Józef Skubij, na komendanta powiatowego GL Jan Jaszczuk, na skarbnika Włodzimierz Chul.

Powołanie KP PPR przyspieszyło prace nad umocnieniem organizacyjnym komórek i dalszym ich rozwojem. W tym celu wykorzystano przede wszystkim dawne kontakty z KPZU docierając do miejscowości i ludzi, u których żywe jeszcze były tradycje pracy konspiracyjnej sprzed wojny. Do końca 1943 r. komórki PPR istniały w większości gmin w powiecie chełmskim. W lecie 1944 r. praca partii nabrała szczególnego rozmachu. Wiąże się to w dużej mierze z przybyciem wiosną tegoż roku na teren podokręgu i objęciem stanowiska sekretarza przez Jana Kandelę (ps. „Andrzej”), zdolnego i sprężystego organizatora. Ze skutkiem zaczął on zwalczać zaściankowość w pracy organizacyjnej. Przystąpiono do tworzenia rad narodowych, komitetów folwarcznych, rozpoczęto na szeroką skalę przygotowania do wystąpienia zbrojnego oddziałów lokalnych w momencie zbliżania się frontu.

W lutym 1943 r. powstał Komitet Powiatowy PPR dla zachodniej części powiatu krasnostawskiego. Organizatorami jego byli Edward Jurecki, Stanisław Lisik, Antoni Lisik i Feliks Jurek. Sekretarzem został Stanisław Lisik, technikiem Antoni Lisik, skarbnikiem Józef Komza. W marcu 1943 r. powstał KP dla wschodniej części powiatu, a jego sekretarzem został Konstanty Krasowski (ps. „Wuj”) i „Szerszeń”).

W marcu 1944 r. powołany został KP PPR dla powiatu Zamość, którego sekretarzem został Sendiak (ps. „Żuk”) z Radezczyca, a komendantem GL Antoni Batorski.

Na terenie powiatu biłgorajskiego w okresie okupacji Komitet Powiatowy PPR nie powstał, a sieć organizacyjna PPR w tym powiecie była dość słaba.

Powiat lubelski w początkowym okresie nie posiadał własnego ośrodka kierowniczego. W maju dzięki pomocy KM PPR powstała komórka i Komitet Gminny w Zemborzycach. Pierwszy Komitet Powiatowy dla powiatu lubelskiego powstał w dniu 15.VI.1943 r. w kolonii Wola Gałęzowska, w mieszkaniu Stanisława Wąsikowej. Na zebraniu założycielskim było 8 osób przy udziale przedstawiciela OK 5, Tadeusza Szymańskiego (ps. „Lis”). Na sekretarza wybrano Wiktora Srodka (ps. „Zegarmistrz”), na skarbnika Jana Szyszakowskiego, na technika Henryka Wąsika. W marcu Niemcy aresztowali dwóch członków komitetu, co spowodowało pewną dezorganizację i osłabienie pracy KP na jakiś czas.

Ponowne ożywienie pracy partyjnej nastąpiło po przeorganizowaniu Komitetu Powiatowego. W dniu 10 maja 1944 r. w lesie pod Prawiednikami z inicjatywy Pawła Dąbka, przy udziale Józefa Małka (ps. „Edek”), Bolesława Kotnarowskiego, Bolesława Pawłowskiego, Bolesława Drwala, Piotra Bednarskiego, Wiktora Srodka i innych odbyła się narada aktywistów PPR z całego powiatu lubelskiego, na której omówiono sytuację na frontach i w kraju oraz przeanalizowano działalność PPR w powiecie. Wynikiem tej narady było wybranie nowych władz Komitetu Powiatowego. Sekretarzem został Paweł Dąbek (ps. „Paweł”), zastępcą do spraw organizacyjnych Bolesław Pawłowski (ps. „Profesor”), zastępcą do spraw wojskowych Wiktor Srodek (ps. „Wiktor”), technikiem Bolesław Drwal (ps. „Grzegorz”). W skład Komitetu weszli ponadto: Józef Małek jako skarbnik i wybrany zaocznie Paweł Niewinny jako dowódca oddziału im. Bartosza Głowackiego. Pracą tego Komitetu kierował bezpośrednio OK 5. Liczbę członków PPR w powiecie w końcowych dniach okupacji określa się na 229 osób.

Eugeniusz Mysłowski

le „sprawności” na tych wydziałach („sprawność” jest to stosunek ilości studentów kończących studia w terminie do ilości studentów rozpoczynających studia). Sprawność przeciętna na wszystkich wydziałach szkół wyższych w roku 1963 wynosiła 25—35%, a na studiach zaocznych — około 10%. W 1960 r. liczba pracowników z wyższym wykształceniem zatrudnionych w gospodarce narodowej wyniosła w Polsce 270 tysięcy, a w 1980 r. ilość ta zbliżyła się do 800 tysięcy osób (uchwała XI Plenum). W 1963 r. mieliśmy 430 tysięcy ludzi z wyższym wykształceniem. A więc w ciągu 17 lat musimy osiągnąć wzrost niemal dwukrotny. Dla wykonania tego planu sprawność musi wzrosnąć co najmniej dwukrotnie.

W problematyce reformy studiów wyższych kluczową pozycję zajmuje zagadnienie rekrutacji. O niej pisało się wiele. Istniejący system polega, jak powszechnie wiadomo, na zalimitowaniu ilości maturzystów podlegających przyjęciu na dany wydział i poddaniu kandydatów selekcji w postaci egzaminu z kilku przedmiotów z zakresu szkolnego i metod szkolną. Powszechna jest opinia, że system ten nie zdaje egzaminu, nie prowadzi do trafnej selekcji. Nie chcę powiększać grona krytyków i doradców, nie widzę potrzeby zastanawiania się nad tym, co w tym systemie należy ulepszyć. Wszystkie aspekty tego zagadnienia przesłania mi bowiem jeden aspekt — wzgląd na godność i dobre imię szkoły wyższej. Ten wzgląd, moim zdaniem, nakazuje zniesienie istniejącego systemu rekrutacji. W okresie egzaminu rekrutacyjnego na oczach wszystkich, kto się rekrutacją interesuje, biegają w kulaarach tłumnie rodzice, krewni, powinowaci, przyjaciele kandydatów, a wśród nich ludzie zajmujący budzącą respekt pozycję społeczną. Cały ten tłumek daje wcale jednoznaczny i szokujący obiektywny obserwator wyraz swemu zainteresowaniu dla poszczególnych kandydatów. A oto rekrutacja została zakończona, setki kandydatów nie zostało przyjętych. Odchodzi rozgoryczeni, załamani — co czynić dalej z tak pięknie rozpoczętą młodością? Być może po raz pierwszy w życiu doznają uczucia bolesnej krzywdy. W ich oczach i oczach ich bliskich wygląda to tak: „A przecież taki matoli jak Staś Kowalski i taka pała jak Leszek Nowak dostali się!” Za tymi nastrojami wlecze się wielogłowa, żarłoczna, nikogo nie oszczędzająca plotka. Nad tym nie wolno przejść do porządku dziennego formułą samouspokojenia: „Nikomu nie można gęby zamknąć”. Można i trzeba koniecznie. Sposób na to — znieść podobny system rekrutacji — zresztą zupełnie bezwartościowy ze stanowiska dobrej selekcji.

Egzamin rekrutacyjny nie może przecież w żadnym wypadku prowadzić do sprawdzenia podstawowej kwalifikacji, jakiej wymagamy od studenta. O jaką mianowicie kwalifikację chodzi? Braki w zakresie znajomości tego lub innego przedmiotu szkolnego, jak w przypadku naszego wydziału prawa — w zakresie historii czy geografii, nie tak trudno przecież uzupełnić w czasie studiów wyższych. To, czego studentom brak — stwierdzamy to na każdym kroku — to umiejętności uczenia się. Dla wyselekcjonowania z tłumu kandydatów ludzi zdolnych do systematycznej pracy możemy — w ramach szkoły wyższej — uczynić tylko jedno, przy najmniej w zakresie studiów prawa: przyjąć na pierwszy rok nauki wszystkich kandydatów bez egzaminu. Ponieważ nie możemy wszystkich przyjąć na studium stacjonarne, trzeba część kandydatów przyjąć na studium zaoczne. Wyselekcjonowaniem pod wspomnianym względem kandydatów do kontynuowania nauki będzie wynik w pracy i egzaminów na roku pierwszym (por. Romuald Stożek i Jerzy Szajnoch: „Alma Mater — nie tradycyjnie”, „Polityka” 1963 nr 38). Rzecz jasna, tego rodzaju projekt wymaga dokładniejszego rozpracowania w szczegółach. Ma on wiele dobrych stron.

Niska sprawność studiów wyższych nie jest zjawiskiem nowym. W okresie międzywojennym sprawność była dużo gorsza. Wiadomo powszechnie, że studia na roku pierwszym wydziału prawa rozpoczynał wiele setek liczący tłum studentów, z nich kończyły grupy liczące tylko dziesiątki. Zdawałoby się, że jest poprawa i to znaczna. Taki wniosek byłby najzupełniej błędny. Polskę kapitalistyczna „stać było” na duży „odsiew”: jej za-

porzbowanie na nowe kadry pracowników było bardzo skromne. Mniejszy odsiew powiększałby istniejące bezrobocie. Większy odsiew był dobrodziejstwem, kląpą bezpieczeństwa — zjawiskiem pozytywnym. Dziś potrzebujemy znacznej ilości pracowników z wyższym wykształceniem. Niezaspokojenie tej potrzeby jest niepowodzeniem społecznym.

Podstawową przyczyną niskiej sprawności wyższych studiów prawa jest ich przeladowanie. Jeśli tego przeciążenia nie zlikwidujemy, sprawność się nie podniesie — chyba że obniżymy wymagania, które, prawdę mówiąc, nie są za wysokie (właśnie wskutek rozumnego kompromisu ze strony ciała nauczycielskiego, kompromisu koniecznego przy dzisiejszym przeciążeniu studiów ze względu na to, że od studenta nie można wymagać rzeczy niemożliwych).

Rozważenie problemu reformy studiów należy rozpocząć od rozstrąsnięcia podstawowego zagadnienia dydaktycznego — ile przedmiotów student jest w stanie opanować w ciągu roku — naprawdę solidnie. Przez solidnie opanowanie rozumiem: 1. sumienne wysłuchanie wykładu prowadzonego bez pośpiechu w tempie umożliwiającym skrupulatne jego zanotowanie i dokładne zrozumienie, 2. przedyskutowanie treści wykładu pod kierownictwem wykładowcy albo siły pomocniczej dla przekonania się, czy wszystko zostało zrozumiane i opanowane, oraz dla ewentualnego uzupełnienia wykładu szczegółami wyjaśniającymi i ilustrującymi, 3. przerobienie przez studenta samodzielnie podanego ma-

teriału, 4. zapoznanie się z najcenniejszymi pozycjami literatury przedmiotu, 5. odczytanie przez studenta w ciągu roku choćby jednego kolokwium przed egzaminem i wreszcie 6. spójne, systematyczne i sumienne przygotowanie się do egzaminu. Jeśli uprzytomnimy sobie, że „przedmiot” jest to podstawowy dział prawa jak prawo administracyjne, prawo karne, prawo cywilne, prawo obrotu gospodarczego, ekonomia polityczna, historia prawa itd., itd. — będziemy musieli dojść uczciwie do wniosku, że student jest w stanie przerobić (w powyżej zaznaczonym sensie) 2—3 przedmioty, nie więcej. A jak wygląda „siatka”? Student ma do przerobienia rocznie 6—7 przedmiotów. A przy zamierzonym skróceniu okresu studiów z 5 do 4 lat (co uważa się za słuszną) ilość przedmiotów „serwowanych” rocznie studentowi będzie musiała wzrosnąć.

Przy obecnej ilości przedmiotów danego roku, która co najmniej dwukrotnie przekracza wyżej wskazane ludzkie możliwości, student nie jest w stanie uczciwie sprostać zadaniu. Może on najwyżej opanować przedmioty tylko bardzo powierzchownie „do egzaminu” i odpowiednio do notowań na „gieldzie egzaminacyjnej”. Z drugiej strony, profesor nie jest w stanie stosować uczciwych wymagań, bo gdyby to uczynił, doprowadziłby do obłania egzaminu przez znakomitą większość studentów. Mały procent nieprzeciętnie pilnych studentów daje sobie istotnie radę — kosztem narażenia na swanek zdrowia. Ale i ci nieliczni, prawdę mówiąc, nie przerabiają przedmiotów w sposób gruntowny i wszechstronny. Pewna część studentów dochodzi w ciągu roku, a zwłaszcza w okresie egzaminacyjnym, do stanu załamania. Widzą oni, że nie dają sobie rady, czują, że tracą grunt pod nogami. Ci tworzą odsiew.

Moim zdaniem, radykalne zlikwido-

wanie tego przekraczającego wszelką rozsądną miarę przeladowania programu jest możliwe — i to bez szkody dla efektu studiów, przeciwnie z wielką dla tego efektu korzyścią i bez ograniczenia ilości przedmiotów wchodzących w skład obecnego studium prawa. Istniejącego zespołu przedmiotów nie można ograniczyć, należy go raczej rozszerzać w miarę rozwoju nauki. Wydział prawa — to nie tylko szkoła dla przyszłych prawników-praktyków, ale i warsztat naukowy. Trzeba tylko zdobyć się na zerwanie ze złą tradycją i zająć wobec problemu racjonalną postawę.

Toczy się spór, czy może być celem studiów wyższych na wydziale prawa przygotowanie fachowca, który bezpośrednio po odbyciu studiów jest przydatny w zakładzie pracy jako pracownik z miejsca pełnowartościowy. Szkoła wyższa, która by sobie taką cel wytknęła, musiałaby znaczną część godzin nauki poświęcić ćwiczeniom praktycznym. A ponieważ prawnictwo obejmuje nie jedną zawód, lecz cały szereg różnych zawodów (cywilista, karnik, administratywa, sędzia, radca prawny, adwokat), w grę wchodziłaby duża ilość różnorodnych ćwiczeń praktycznych. Wymagaloby to wprowadzenia wąskiej specjalizacji na wydziale prawa. Szkoła wyższa zamieniłaby się w wielobranżową szkołę zawodową. Przelatłaby być szkołą wyższą.

Zadaniem szkoły wyższej może być jedynie uzbrojenie studenta w rzetelne poznanie podstawowych teorii z danej dziedziny wiedzy. Celem szkoły wyższej może być jedynie ogólne wykształcenie w danym zakresie wiedzy ludzkiej. Celem wydziału prawa jest wykształcenie prawnika — nie prokuratora, sędziego, radcy prawnego itp. Ponieważ nauka prawa jak każda nauka ulega nieprzerwanemu rozwojowi i nawet wyszkolony najlepiej prawnik musi stale aktualizować we własnym zakresie swoją wiedzę teoretyczną — jeśli chce zachować poziom człowieka z wyższym wykształceniem (a nie „pracownika z dyplomem szkoły wyższej”), szkoła wyższa prawa powinna nie tyle dbać o wypełnienie świadomości studenta określoną treścią wiadomości naukowych, ile o ugruntowanie w nim mentalności prawniczej, żądzy wiedzy i niepokoju twórczego. „Uniwersyteckie wydziały prawa powinny kształcić młodych prawników nie tylko w obecnym wąskim profilu jurydycznym. Studentom prawa — by chronić ich od nacisku doktryn formalno-dogmatycznych — należy dać poważne wprowadzenie w tematykę i metodologię nauk humanistycznych” (referat Zarządu Głównego ZPP, 1963).

Dla osiągnięcia tego celu nie jest wcale potrzebny ten stan rzeczy, jaki panuje na naszych wydziałach prawa. Obecnie student jest obowiązany do opanowania wszystkich specjalności prawniczych, a to dla osiągnięcia nieosiągalnego celu — uzbrojenia się w zdolność wykonywania każdej profesji prawniczej. Jeżeli zrezygnujemy z dążenia do osiągnięcia tego mirażu i wytkniemy sobie jako cel założenie w świadomości studenta głębszych fundamentów teorii prawa, okaże się wystarczające przerobienie w ciągu roku fakultatywnie jednej dwu-trzyprzedmiotowej grupy przedmiotów. Nie przeraża mnie ewentualność, że dany student nie przerobi przykładowo prawa administracyjnego, jeśli będzie wiedział, że dobrze strawi prawo państwowe rozszerzone w pewnych partiach obejmujących elementy prawa administracyjnego; nie zaszkuje możliwość pominięcia postępowania karnego, jeśli przerobi prawo karne poszerzone o zasady formalnego prawa karnego.

Z największym naciskiem zaznaczam raz jeszcze, że w moim rozumieniu podobna reforma nie wymaga i nie dopuszcza usuwania poza nawias wydziału prawa jakiegokolwiek z dotychczasowych przedmiotów — nie wyklucza wprowadzenia nowych przedmiotów. Reforma sugerowana nie może również dopuścić, by pewna dwu-trzyprzedmiotowa grupa przedmiotów była objęta przez liczną rzeszę studentów, a inne — przez nikłą, albo i w ogóle nie objętą. Stosowanie środków administracyjno-dydaktycznych powinno doprowadzić do równomiernego objęcia przez studen-

LUDZIE nad BAGNAMI

(Dokończenie ze str. 8)

chylił się ze starości. Budował go przodek 150 lat temu.

Stanisław Gosk siedział właśnie w izbie i wspominał poległych braci. Potem wyszedł ze mną na podwórze i pokazał ładny, czerwieniący się murem nowy dom.

— Oto przyszłość — powiedział. — Buduję dla syna. On obejmie po mnie gospodarstwo. Początkowo rwał się do miasta. Nie przeszkadzałem mu. Jak ci tam będzie lepiej, proszę bardzo. Ale wziąłem ołówki i obliczyłem mu, ile ta ziemia może dać, jakie są możliwości życia, nawet tu u nas, na wsi. Budowali właśnie w Rutce stację przekątnikową telewizji. Ludzie latali tam patrzeć. Ja wiedziałem, co to znaczy telewizja. Za pierwsze sprzedane wieprzki kupilem telewizor. Jest teraz kultura w chałupie. Przedstawienia z teatrów, filmy, wykłady rolnicze. Miasto jest obecnie w tej małej skrynce, którą co wieczór zapalam. Syn zrozumiał, że jego miejsce jest tu, w Kossakach, bo tu ma zapewniony chleb. No, i ziemię uprawiał będzie nadal Gosk. To również ważne. Zapisalem go na kursy rolnicze, daję mu książki do czytania. Interesują go nowości. Mogę powiedzieć, że będzie z niego dobry gospodarz.

Te spostrzeżenia, które poczyniłem, nie oddają wszystkich przemian, nastrojów, obyczajów i przyzwyczaję mieszkańców wsi Kossaki Nadbielne. Niechaj będzie mi wybaczone to, że niektórzy wypadli może trochę uszczupliwie, że zarysowały się ich przywary, stare nieprzezwyciężone poglądy na niektóre sprawy. Wieś, taka właśnie jak Kossaki Nadbielne, zawiera w sobie wiele rozmaitych sprzeczności i nie wszyscy zdołali zrozumieć trudny proces przemian, niektórzy myślą jeszcze starymi kategoriami. Ale postęp idzie nieprzerwaną falą i niepostrzeżenie ogarnia coraz szersze kręgi ludności wiejskiej. Gdy opuszczałem Kossaki Nadbielne, z bramy obejścia Morawskich wyjeżdżał traktor, który właśnie u nich ukończył orkę.

Edmund Skarżyński

tów wszystkich grup przedmiotowych. Nie będzie to chyba naruszenie „swobody badania naukowego”. Byłoby studium w zakresie każdej grupy było tak pomyślane, by prowadziło do intelektualnego przygotowania studenta do zawodowej pracy prawnika.

Taka reforma oparta na rozumnej zasadzie „lepiej mniej, ale lepiej” nie tylko zwiększa efekt nauczania, ale ma doniosłą wartość wychowawczą — prakseologiczną. Niedawno (maj br.) obradowała w Wiśle dobrze przygotowana i bardzo licznie obsesiana konferencja Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego — poświęcona właśnie specjalnie zagadnieniom prakseologii — „dobrej roboty”. Dala ona wyraz zaniepokojeniu z powodu braku u nas kultury organizacyjnej i wysunęła postulat kształcenia społeczeństwa w tym kierunku — i to na wszystkich etapach nauczania. Ale samo nauczanie pozostaje — jak wiadomo — bezbarwną teorią, jeśli nie stwarza warunków do stosowania teorii z dobrym efektem. Należy we wszystkich zakładach pracy dbać o warunki codziennego wykonywania zadań w zgodzie z zasadami dobrej roboty. Jednym z takich zakładów pracy jest szkoła wyższa. Nie podzielam zdania niektórych „znawców” stosunków na wydziale prawa, jakoby była to szkoła nieróbstwa i werbalizmu prowadzącego do powierzchownego przyswajania sobie teoryjek, które idą w zapomnienie nie pozostawiając w umysłach wychowanków żadnego śladu. Jest to przesada zrodzona autoironią i gorzkawym poczuciem humoru. Ale prawdą jest, że czas najwyższy, by istniejącą metodę zapychania do głowy studenta wiadomości „ile wlezie” i nawet więcej niż wlezie — uczynić przedmiotem bezlitosnej krytyki i przestać poddawać panujący „od wieków” system nauczania ochronie należytą tylko naprawdę cennym zabytkom.

Emanuel Iserzon

Saga rodu Gozdawów

TADEUSZ KŁAK

CZYTAJĄC *Iskry na wiatr**) do-
brze jest pamiętać, że nie sta-
nowi to powieść całkiem samoist-
nego zjawiska, ale że należy do ca-
łości cyklicznej zatytułowanej *Rzeka
kłamstwa*. Na przestrzeni prawie trzy-
dziestu lat ukazała się *Wędrowna
Joanna, Ludzie z wosku i Miasteczko
aniołów*. Wielki cykl Ewy Szelburg-
Zarembiny stanowi zamysł dosyć dzi-
sław wyjątkowy. Wyjątkowość ta jest
różnego rodzaju. Powieść pisana jest
przeciw czasowi, nie tylko w tym sen-
sie, że zjawisko powieści — rzeki jest
trochę niedziśniesz. Było ono żywe
i aktualne w czasie, kiedy powstawa-
ły pierwsze ogniwa cyklu, ale wydaje
się, że wtedy perspektywa wielkiej
sagi rodu była od autorki dość daleka.
Po wydaniu *Iskier na wiatr, Rzeka
kłamstwa* urosła do wymiarów wiel-
kiej sagi rodu Gozdawów. Powieść
płynnie tokiem niespiesznym, bowiem
jej istotnej warstwy nie stanowią
wydarzenia, rzecz rozgrywa się na cał-
kiem innym planie.

Dobrze jest czytać powieść ostatnią
razem z *Miasteczkiem aniołów*. Nie
tylko przecież dla przypomnienia po-
przedniej biografii głównych bohater-
ów, ile dla porównania odmienności
traktowania i formowania materii pi-
sarskiej. *Miasteczko aniołów* rozgry-
wa się na dwóch planach. Wprowadzi-
ła tu autorka dwa różne czasy — czas
rzeczywistych zdarzeń i czas później-
szego ich przeżywania przez bohaterkę.
Składa się ta powieść z dwu jakby
splotów — czas przeszły i teraźniejszy
przeplatają się i nakładają na siebie.
Nakładają się także dwa spojrzenia,
dwie różne oceny. Ocena bohaterki jak-
o dziecka i jako dorosłej już osoby.
Przynależała, że rezygnacja autorki
z tej dwoistości opowiadania i po-
wrot do toku jednolitego wyszedł
Iskrom na wiatr na dobre. Nie prze-
rzuca autorka czytającego z czasu w
czas, nie wyrwa go z klimatu w kli-
mat, pozwala bez przerwy towarzyszyć
wernie drodze powieściowych postaci.

Trzy są postacie, które skupiają
szczególną uwagę autorki i czytelnika
— Kaj, Joanna i Mea. Ta ostatnia
jest najważniejsza. Reszta osób to
epizody, tło, plan dalszy. Więc nie
panorama historii, ale rozbudowany
obraz losu indywidualnego? Osadze-
nie zdarzeń w jakimś Zeleźnie czy
Karpinie, na uboczu historii zda-
wałoby się przemawiać za drugim roz-
wiązaniem. Ale to tylko pozór. Bo-
wiem rama czasowa powieści określa
w całości jej zdarzenia. Otwiera się
powieść obrazem pojawiającej się ko-
mety Halleya gromzącej zagładą i ka-
takilizmem (1910 r.), przynajmniej tak
się to wydarzenie odbijało w wyobraź-
ni dziecka, a zamyka ją wybuchem
pierwszej wojny światowej, przed-
świttem, by użyć słowa bliskiego tam-
tym czasom. W pewnym sensie *Iskry
na wiatr* są swego rodzaju kroniką
historyczną. Znajdują tu swe odbicie
wszystkie ważniejsze sprawy i wyda-
rzenia, które fascynowały i zajmowa-
ły współczesnych, przynieszone do Ze-
leźna przez gazety lub przez powieść
wędrowną. Na równych prawach wy-
stąpi tu głośna historia Macocha, jak
i zdarzenie lokalne poruszające jedy-
nie okolicę najbliższą. Dla małej Sa-
lomei te sprawy są raczej impulsem i
pretekstem do własnych rozmyślań i
przeżyć, w wyobraźni dziecięcej
wszystkie sprawy ogromnieją i nabi-
erają całkiem nowych wymiarów i
kształtów.

Zachodzą więc w tej powieści na
siebie te dwa obrazy: wielkiej historii
i codziennych zdarzeń zwykłych ludzi.
Te drugie warunkowane są właśnie
tokiem wielkich wydarzeń historycz-
nych. W scenach dwóch — otwierają-
cej i kończącej — zawiera się znamie
szczególnie prozy Ewy Szelburg-Zare-
mbiny. Początek *Iskier na wiatr* swoją
— miejscami — niesamowitością, wid-
mową wizyjnością i skłonnością do
symboliki przywołuje na pamięć lic-
ne sceny z *Wędrownki Joanny*. Tu jed-
nak nurt ten jest wyraźnie osłabiony,
ma przeciwwagę w solidnej warstwie
realistycznej. Zakończenie znowu —
wybuch wojny — poświadcza, iż au-
torka, pilnując przede wszystkim dzie-
łów głównego bohatera, rzadko kiedy
izuluje go z ogólnego toku historii.

*) Ewa Szelburg-Zarembina: „Iskry na wiatr”, Warszawa 1963 PTW.

Ona jest prawie zawsze punktem od-
niesienia, a czasem linie zdarzeń wiel-
kich i małych się przecinają (np.
udział niektórych postaci w rewolucyj-
nych ruchach ok. 1905 roku w powie-
ściach poprzednich).

Wspomniało się, że w *Iskrach* na
wiatr są trzy postaci główne. Powie-
działo się także, iż tą najważniejszą
jest Salomea, czy jak to używa często
autorka: Mea. Jej dzieje są właściwą
osią życia rodziny Gozdawów, ona —
jedynaczką. Takie ustawienie bohater-
ki waży na wyglądzie całej rzeczywisto-
ści. W zasadzie cała rzeczywistość
komponowana jest ze stanowiska Mei,
z jej punktu widzenia. Historia jej ro-
dziców zawiera tylko te rzeczy, które
pozostają w jakimś stosunku do ich
córki. Salomea jest więc jakby lu-
strem postawionym przed obrazem
świata, który całkowicie się w nim
odbija. Spojrzenie dziecka jest respek-
towane przez cały czas. Najszerzej za-
pisują się te wydarzenia, które naj-
silniej działały na dziecięcą wyobraź-
nię, które najostrej ją atakują. A
więc zdarzenia wyjątkowe, o posma-
ku cudowności i nadzwyczajności, któ-
re łatwo uzyskują wymiar niezemi-
ski, mitologiczny. Zasada mitologiza-
cji obowiązuje nie tylko w odniesieniu
do lat dziecięcych. Kiedy Salomea jest
już uczennicą szkoły w Karpinie, jej
życie płynie także dwoma strumieniami.
Nurt zwykły codziennej nauki i
drugi — pełny romantycznego patosu
nurt działalności konspiracyjnej, słu-
żącej ruchowi niepodległościowemu.
Rzecz jasna, że ważniejszy jest ten
drugi. O mitologii nie mówi się bez-
podstawnie. Tworzy ją właśnie dzie-
cioka wyobraźnia, która odbiera i in-
terpretuje świat po swojemu, antro-
pomorfizuje rzeczy i naturę, a cały
świat widzi na kształt teatru, gdzie
rozgrywa się pasjonujące wydarze-
nia, w których wszystkie elementy
świata aktywnie uczestniczą. Mitolo-
gizacja dotyczy także rodziców Mei,
zwłaszcza ojca. Kaj jest tu niemal Bo-
giem Ojcem, wyniesionym ponad
wszystko. On jest miarą wszystkiego,
ostatnią instancją, gdzie sprawy roz-
strzygają się ostatecznie. Od jego orze-
czeń nie ma już odwołania. Ale Kaj
okazuje twarz nie tylko surowego są-
dziego. Częściej jeszcze jawi się jego
oblicze łagodne, wyrozumiałe, dobre.
Dom Kaja Gozdawy ma dla Mei cechy
rajskie — jest tu dobrze i bezpiecznie.
A także, co jest dla dziecka szczegól-
nie ważne — sprawiedliwie.

Mitologia dzieciństwa, tak by rze-
cz można o dziecku Salomei. Ale skorzy-
stać trzeba z pewnego uprawnienia,
jakie daje autorka w *Miasteczku anio-
łów*. Pójdźmy więc tym tropem i po-
stawmy pewne znaki równania pamię-
tając przy tym, iż rzeczywiste wyda-
rzenia i ich powieściowa wersja to są
rzeczy do siebie nieprzyległe. Zeleźno
to Nałęczów, miejsce młodości autorki.
Karpin — to Lublin, tu spędziła ona
lata szkolne. *Rzeka kłamstwa* jest
więc do pewnego stopnia cyklem au-
tobiograficznym, w głównych postac-
iach łatwo rozpoznamy portrety au-
torki i jej rodziców. Większość wą-
tków we wszystkich ogniwach cyklu
rozgrywa się w Nałęczowie na prze-
strzeni lat przed 1900 rokiem i po-
nim. A już *Miasteczko aniołów* stano-
wi niemal powieściową monografię
Nałęczowa tamtego czasu. Znaleźli się
we wszystkich powieściach ludzie Na-
łęczowa, jego instytucje, jego sprawy.
Lektura *Iskier na wiatr* poprzez na-
łęczowskie realia sprawia wiele dodat-
kowych satysfakcji. Płyną one z kon-
frontacji dostojnej wiedzy książkowej,
w świetle której cała tradycja jest
świętością, której nie można naruszać
i podważać, z opowieścią świadka i
niekiedy uczestnika. Pyszne są na
przykład sceny z nałęczowskiej
ochronki (tak, tej Zeromskiej!), ka-
pitalny obraz wigilii urządzonej dla
„ludu” przez przedstawicieli „pań-
stwa”. Autorka podchodzi do tych
spraw bez nabożeństwa. Przekazuje
relację świadka: tak działalność na-
łęczowskich zapaleńców widzieli ludzie
prości. Traktowali ją z nieufnością,
pobudki jej wydały im się podejrzane.
Doszukiwali się mniej szlachetnych
motywacji. Oto charakterystyczny
fragment: „Zeleźno było podówczas
miejscem, gdzie wśród zabawiających
się mniej lub więcej serio sprawami
de publicis licytowano się nie tylko
przy pomocy przeciwnastawnych hasel,
ale i pewnej dozy uczynków nie będą-
cych w istocie swej przeciwnastawnymi
— to sprawiło, że ostatecznie ogół
mieszkańców rozróżniał i oceniał nie
treść pompatycznych lub krzykliwych
wypowiedzi, ale rzeczywisty lub do-
mniemany interes „działaczy” obno-
szących się z nimi publicznie, bo tak
czy siak to ostatecznie kryło się w
mniemaniu nieskoroego do uzewnętr-
nienia ogółu za fasadą bez fundamen-
tów i zapleczą”.

SOCJOLOGIA o wyższym wykształceniu

ALEKSY BORNUS

ZAINTERSOWANIE społeczeń-
stwa pracą wyższych uczelni,
warunkami kształcenia i wych-
owania młodej inteligencji w szkołach
akademickich jest u nas duże i jak
z potocznej obserwacji wynika, ciągle
wzrasta. Z drugiej zaś strony odczu-
wa się brak przejrzystych opracowań
i informacji na temat funkcjonowa-
nia polskiego systemu szkolnictwa
wyższego, który corocznie wypuszcza
tysiące absolwentów (po wojnie do
1960 r. studia ukończyło ponad 276.000
osób) wchłanianych natychmiast przez
różne dziedziny życia społecznego i
gospodarczego kraju. Odpowiedź na
pytanie, jak spełniają swe zadania
szkoły wyższe, jest równocześnie w
dużej mierze odpowiedzią na inne
istotne pytania: jaka jest nasza współ-
czesna inteligencja, jakie stosunki pa-
nują w środowisku ludzi nauki (pa-
miętamy dyskusję na ten temat w
„Polityce”), jak wysoka jest ranga wy-
kształcenia i fachowości w naszym
społeczeństwie. Ostatnio ukazała się
książka, która w znacznym stopniu
zaspokaja nasz głód wiedzy o szkol-
nictwie wyższym i wyższym wykształ-
ceniu w Polsce. Książka ta jest tym
cenniejsza, że wyszła spod pióra wy-
bitnego socjologa, który w oparciu o
wyniki szczegółowych badań analizuje
w niej wszechstronnie społeczne
warunki procesów nauczania i wy-
chowania w wyższych uczelniach*.
Autor pisze na wstępie, że w pracy
swejej chce „zastanowić się nad pro-
cesem dążenia do wiedzy, procesami
przekazywania i tworzenia wiedzy w
wyższych uczelniach, oraz zjawiskami
wykorzystywania wiedzy wyniesio-
nej z uczelni przez absolwentów”.
Po książkę tę sięgnie z pożytkiem
każdy, kto interesuje się szkolnic-
twem wyższym, a przede wszystkim
pracownicy nauki, działacze stu-
dencie i młodzieży oraz pedagogo-
wie.

Praca prof. Szczepańskiego wyja-
śnia przekonująco i wnikliwie wiele
trudnych i ciągle u nas dyskutowa-
nych spraw związanych z działalno-
ścią szkół wyższych. Oto np. analiza
mechanizmu rekrutacji na wyższe
uczelnie prowadzi autora pracy do
wniosku o małej skuteczności tej ak-
cji, decyzje bowiem o pójściu na stu-
dia i wyborze kierunku studiów
kształtowane są u młodzieży przede
wszystkim przez środowisko rodzinne,
najbliższe otoczenie, wpływ kolegów
itp. Dalej znajdujemy w książce wy-
jaśnienie przyczyn zjawiska, że
35—45 proc. kandydatów posiadają-
cych dobre świadectwa maturalne od-
pada przy egzaminach wstępnych na
wyższe uczelnie. Otóż okazuje się,
że kandydaci na studia mają zupełnie
odmienne wyobrażenia o egzaminach
wstępnych, niż ich egzaminatorzy. Że
kryteria ocen stosowanych przy egza-
minach są dla kandydatów na wyższe
uczelnie niezrozumiałe. Co więcej,
idealny wzór kandydata na studenta
wytworzony w środowisku uczelnia-
nym i „przyswiewający” egzaminato-
rom jest rozbieżny z wzorem ideal-
nego ucznia szkoły średniej. Rozbie-
żność ta — to, zdaniem autora, jeden
z podstawowych czynników dużego
odsetka niezdaných egzaminów. Ciek-
awo jest stwierdzenie, że dla nowo
przyjętych studentów atrakcyjność
życia w uczelni polega przede wszyst-
kim na radykalnej zmianie środowis-
ka, dzięki wyrwaniu się spod kon-
trolli szkoły średniej i możliwości
układania sobie życia według włas-
nych wyobrażeń, a te z kolei kształ-
tują się tutaj na nowym gruncie pod
wpływem otoczenia najbliższych ko-
legów i małych, spontanicznie two-
rzących się grup, w domu akademickim,
w seminarium, bibliotece itd. Oddziały-
wanie celowe pracowników
nauki (jeśli takie w ogóle występuje)
jest o wiele mniej skuteczne. Prof.

Nowa powieść Ewy Szelburg-Zare-
mbiny jest dziełem ambitnym, stanowi
osiągnięcie godne uwagi. Pisana sam-
oswoim, niepodobnym do żadnego
innego językiem. Szacunek budzi kon-
sekwencja i wierność sobie autorki,
która — nie bacząc na mody i nowinki
— zamyka swoje wizje i wyobraże-
nia o świecie w słowie o jakości naj-
lepszego próby.

Szczepański z naciskiem podkreśla,
że osobowość wychowawcy przejawia-
jąca się w świadomym działaniu wy-
chowawczym profesora, pracownika
nauki, jest głównym czynnikiem
kształtującym postawę i wzory mo-
ralne studenta. Bez nawiązania stu-
dentu do wychowawczego między profes-
orem a studentem ten ostatni nie
może wejść w pełni do uczelni, nie
jest w stanie przewyższyć znoszący
się często wzajemnie oddziaływa-
nie oczekiwań różnych grup i środowisk
koleżeńskich i pozauczelnianych, nie
może przyjąć wzoru idealnego stude-
nta, jaki wskazuje mu uczelnia. Znac-
ny odsetek studentów rezygnuje ze
studiów w toku ich trwania właśnie
z powodu braku oddziaływania wy-
chowawczego ze strony profesorów.

Wśród pracowników nauki żywotne
są dotąd tradycyjne wyobrażenia o
wzorowym studentie. Najczęściej jest
to student przypominający swymi ce-
chami pracownika nauki. Ponadto po-
winiem on posiadać cnoty, które nie-
kiedy muszą zdobyć pracownicy
naukowych, jako że nikt ich nie kon-
troluje i nie egzaminuje — zauważa
trochę sarkastycznie autor. Przyjmu-
je się milcząco, że taki idealny stu-
dent będzie później miał — już jako
absolwent — największe szanse w ży-
ciu i pracy zawodowej. Jednak nowa
rzeczywistość naszego kraju, jak
wskazują doświadczenia, stawia absol-
wentom wyższych uczelni wymagania
o wiele szersze niż te, które są właści-
we zawodowi pracownikowi nauki.

W uczelniach pokutują również
tradycyjne metody i techniki pracy
pedagogicznej, mimo że założone funk-
cje szkoły wyższej są dzisiaj inne niż
przed wojną. Profesor Szczepański pi-
sze: „...rutyna nauczania akademickiego
nie zmieniła się wiele (przynaj-
mniej w zasięgu moich doświadczeń),
choć werbalnie wszyscy podkreśla-
my, że chcemy wychować i wykształ-
cić inny typ człowieka”. Niezwykłe
interesujące są refleksje i spostrze-
żenia autora o sytuacji pracowników
naukowych. Można przypuszczać, że
profesorowie i młodzi pracownicy nau-
kowi przeczytają te partie książki, w
których o nich mowa, jednym tchem.
Rozważania te bowiem skupiają się
na głównych trudnościach występu-
jących w środowisku pracowników
nauki i prowadzą do wniosków śmia-
łych, a jednocześnie bogato uargumen-
towanych.

Książka napisana jest — jak zresz-
tą wszystkie prace prof. Szczepań-
skiego — językiem klarownym i pre-
cyzyjnym, co bardzo ułatwia śledze-
nie myśli autora.

* Jan Szczepański — Socjologiczne za-
gadnienia wyższego wykształcenia. Warsza-
wa 1963, PWN.

ZBIGNIEW WALDEMAR
OKOŃ

Pogrzeb

jestes jak szklanka zimnej wody
na brzeg rozpaczy postawiona
jak kłamki dotyk zimnych rąk
w wędnięciu róz
(a oni poszli za pogrzebem
i nieśli trumnę na spojrzeńcach)
a będziesz urną z popiołami
na białe kości ziemi czerni
i w blaskawicach trupa cień
przelamie niebo piorunami
(szli alejami ciszy z kamieniami
w rozkrwawionych ustach
gdzie księżyc z gardzieli psów
wyciąga świąty nad cmentarze
i
smak umierania gorzki)

WIERSZE POETÓW RZESZOWSKICH

LUDMIŁA
PIETRUSZKOWA

Kapelusz i modlitwa

Słomiany stożek niewielki
kładę na twarz
elbrzymia kopuła
dookoło widzenie wszechrzeczy
włożony na głowę
udźwignie ciężar
upalnego dnia
a on plecy przygina
i wyciąga spracowane dłonie
ku wystającym z wody kłosom ryżu
chleba jego powszedniego
dał mu Panie

WIEŚLAW KULIKOWSKI

Brzozy koło porąb

Są śniegiem ogromnym —
napadały przy drodze
do obłoków —
można ich się napić
Jak mleka.
— Można do nich wchodzić
jak do domów.
— Kiedy wiatr się z nimi żegna,
biją im białe serca —
odjeżdżają weselnymi furmankami,
a ich cienie
[w żalobnych konturach idą.

Ja tobie mówiąc o ziemi czerstwej
craz o chlebie z żółtego zagonu
chcę tylko abyś powtórzyła po mnie
com tobie pokazał i czym w sytość karmil

I abyś w serdecznym spracowaniu mogła
odnaleźć kręgu świetlnego łagodną granicę
a że jednak ten pejzaż przystawał do barwy
to wiedź, że krąg to jedynie nam znanej pogody

a później chciałby dorównać moim ojcom
w wytrwałym chwaleńcu rozpoznanych dolin,
— więc tu w tej misce surowy udój
w tym tu rozlogu splaszczonym przez niebo
można się napić słodkiego wieczoru
a bosym stopom ofiarować czułość ziemi

Zamkowe dziedzińce

Z odmulonych kwitnień jaskrawo
rdza pogrzebie ostatnie cięcie

lśnienie kling
jak jęzory po niebie
układność wielka
i wieczne zapatrzenie
stal dwustronnych odwrócen
biała pogoda metalu

krwawo
splywa ze sztandarów

A gdzieś nad wystrzał świecznika
pod strop
przez martwą kolumnę

kamienie twardo
po schodach
na wyludnione dziedzińce
stuk przechodzenia

STANISŁAW
RYSZARD
KORTYKA

*

*

*

Listy o poezji

Poezja niepisana

ANNA KAMIENSKA

„Nawet w całkowitej rzekomo fikcyj-
literackiej dadzą się wykryć
okoliczności czyniące z tej fikcji
prawdę realną, ukrytą, często głąbo-
ko, w charakterze i przeżyciach
autora.”

Wacław Gralewski
(„Ogniste koła”)

TRADYCYJNA polonistka obrzy-
dziła nam biografie pisarskie.
Schemat: życie i dzieło — osią-
gnął formę szczytową, formę pseudo-
parodii. Bezpośrednie łączenie każdego
utworu literackiego, a zwłaszcza poe-
tyckiego, z wydarzeniami życia pisa-
rza było odczuwane często jako absurd,
jako splaszczanie i wulgaryzowanie zja-
wisk literackich. Odczytywano całą
twórczość pisarza jako ilustrację do
jego curriculum vitae. Tym gorzej dla
pisarza, a także dla uczniów szkół
średnich, jeśli życiorys był ubogi, nie
obfitował w przygody czy podróże. Mo-
da na powieści typu biograficznego po-
pularyzowała postacie literackie, któ-
rych losy były urozmaicone przygoda-
mi miłosnymi, aferami politycznymi i
obyczajowymi. Śmierć była pointą,
była chwytliwym kompozycyjnym. Samo-
bójstwo było gratką dla psychologiz-
nego uścisłstwa.

To ludzkie. To niewątpliwie bardzo
ludzkie. Plotkarstwo jest słabością
rozdzieloną równo na oba rodzaje

ludzkości: męską i żeńską. A mimo to
uproszczone, schematyczne wiązanie
dzieła z życiem, interpretowanie utwo-
ru poprzez wydarzenia życiowe — co-
raz bardziej drażni i nie zaspokaja cie-
kawości dotyczącej sensu samego dzie-
ła, ciekawości jego struktury, formy,
języka.

A jednak to prawda — każde dzie-
ło literackie, każdy, nawet najmniej-
szy utwór poetycki nosi w sobie zapis
indywidualności pisarza, zapis jego
jednostkowego przeżycia. Każdy
utwór, nie tylko liryka, ale przede
wszystkim i najwyraźniej liryka uka-
zuje nam między słowami twarz auto-
ra. Wyczuwamy, czy jest to twarz
sympatyczna czy antypatyczna, twarz
ta budzi w nas sympatię lub też znie-
chęca do najwspanialszego nawet
utworu. Sądzę, że nie wolno stawiać
znaku wyznaczenia między utworem li-
rycznym a przeżyciem pisarza. Te za-
leżności są o wiele bardziej złożone,
skomplikowane, pogmatwane. W każ-
dej fikcji i w każdej metaforze zawie-
ra się coś z indywidualności autora i z
jego doświadczenia, jednak obiektywiz-
acja tej indywidualności i doświad-
czenia w kształcie artystycznym od-
bywa się w sposób kręty, dookoły,
czasem poprzez antytezę realnych ukła-
dów sytuacyjnych.

Współczesna liryka jakże często
idzie tropem przeżyć poety, towarzy-
szy im, wydaje się głosem do jego ży-
cia, a więc do tego, co jedynie ważne
i znaczące. Poezja jest formą działal-
ności, ale aktorem, podmiotem działa-
nia jest żyjący człowiek, poeta. Sto-
pień jego wrażliwości, skala jego umy-
ślu, intensywność jego życia — określa
wartość jego dzieła. Ale przecież samo
życie jest dla niego ważniejsze, istot-
niejsze, a nawet często, powiedzmy to,
trudniejsze. Życie z jego chorobami,
upokarzającymi często słabościami,
całą fizjologią, z konfliktami rodzin-
nymi, społecznymi, z trudnościami wy-
boru moralnego, ze wstydem tchórz-
stwa, z lękiem ryzyka, z jakim łączy
się często szlachetność, życie z przy-

WIEK XX i rozwijająca się in-
dustrializacja społeczeństwa zrodzi-
ły nową skalę popularności dzieł
sztuki. Nowe możliwości konsumpcji
artystycznej pociągnęły za sobą dale-
ko idące zmiany w mechanizmach spo-
łeczno-kulturalnych. Najważniejsze na-
stępstwo tego przewrotu to narodziny
tw. kultury masowej. Zmieniła się sy-
tuacja twórcy wobec społeczeństwa i
na odwrót — społeczeństwa wobec
twórcy. Sztuka stała się powszechnie
dostępna. Ale obserwujemy tu prze-
dziwne zjawisko: z jednej strony
wzrost ogromnie prestiż społeczny pla-
styki w naszym życiu, z drugiej — od-
biór plastyki pozostaje daleko w tyle
za znaczeniem. Dotyczy to głównie tych
dyscyplin plastycznych, które często
nazywa się sztuką „nieindustrializo-
waną”. Zastanawia jej skromny udział
w kulturze masowej, w kształtowaniu
poczucia piękna i estetyki wśród szer-
okiego społeczeństwa. To skompliko-
wane zjawisko ma wiele przyczyn.

Jedną z nich jest niedocenywanie
systematycznej popularyzacji wiedzy
o sztuce, zwłaszcza wśród młodzieży
— brak wykładów historii sztuki,
zajęć plastycznych w programach
szkolnych, brak elementarnych pod-
staw kultury plastycznej. Sprawa to,
że plastyka nie stanowi źródła emocjo-
nalnego przeżycia dla szerszych kręgów
społeczeństwa. Stali bywalcy wystaw
plastyki to wąskie grono zaintereso-
wanych. Inni odbiorcy sztuki trafiają
do sal wystawowych przypadkowo, bez
przygotowania i nieczęsto do nich po-
wracają.

Druga przyczyna — to partyzanckie
niemalże upowszechnianie sztuki przez
wiele instytucji, bez jakiegokolwiek
koordynacji i długofalowych komplek-
sowych akcji oświatowych. Np. pierw-
szą w powiecie siemiatyckim wystawę
prac miejscowego plastyka obejrzało
około 10 tys. osób. Zorganizowana za-
raz po niej ekspozycja nowoczesnej
tkaniny artystycznej nie zainteresowa-
ła wielu, bo trafiła na nie przygotowa-
nych odbiorców. Przykład ten świad-
czy o braku znajomości środowiska i
podstawowych zagadnień upowszech-
niania plastyki. Przykład to nieodoso-
biony.

Trzecia przyczyna — to zbyt małe
zaangażowanie środowiska plastyczne-
go w sprawy dnia codziennego. Wielu
z nas nie rozumiejąc głębiej problema-
tyki przemian społeczno-gospodarczych,

O nowych zadaniach plastyki

JERZY WALTER BRZOZA

rewolucji kulturalnej naszej doby —
wulgaryzuje niejako treści tych proce-
sów. W dzisiejszym mecenasie, tj. wy-
działach propagandy i wydziałach kul-
tury, widzimy nieraz naszego odbior-
cę, zapominając, że ów mecenat to
tylko pośrednik pomiędzy twórcą a
właściwym odbiorcą dzieł plastycznych,
jakim jest szeroki i zróżnicowany krąg
naszego społeczeństwa, warunkujący
inne funkcje naszych dzisiejszych prac.
Zadaję sobie pytanie, czy funkcje te
są nam zawsze znane? Więcej uwagi
powinniśmy poświęcić zagadnieniom
pełnej świadomości i odpowiedzialności
za uprawianą twórczość. Zwłaszcza za
tę, którą określamy mianem plastyki
użytkowej. Nie może być wśród niej
miejsca na chałturę.

Coraz częściej mówi się u nas ostat-
nio o sprawach plastyki i jej upo-
wszechnieniu. To dobrze, wydaje się
jednak, iż instytucje zajmujące się
upowszechnieniem sztuki, a także ma-
jące wpływ na rozwój naszych środo-
wisk twórczych powinny sprężyć swoje
zadania i potrzeby, powinny wy-
pracować długofalowy program działa-
nia. Przypadkowe „zryw” i akcje od
„wielkiego dzwonu” mogą przynieść
więcej szkody i zamętu niż pożytku.
Zwłaszcza na naszym terenie. Widzę
potrzebę przemyślanej akcji upo-
wszechniania sztuki, opartych niejedno-
krotnie o badania socjologiczne. Nie-
miałymi pomocami w tym zakresie mo-
głaby służyć na wstępie organizowana
międzyzakładowa placówka badań so-
cjologicznych w miejscowym przemy-
śle. Wpływ na prawidłowy rozwój pla-
styki na Białostocczyźnie miałoby rów-
nież stworzenie odpowiednich warun-
ków wystawowych poprzez uruchome-
nie pawilonu wystawowego, a także
powołanie Towarzystwa Przyjaciół
Sztuk Plastycznych.

padkami stawiającymi nam na drodze
śmierci, tragedie, lajdactwa i lęki —
życie wreszcie z najtrudniejszą do znie-
sienia monotonią codzienności, znuże-
niem, oczekiwaniem — to życie jest
nam dane jako jedyne i najważniejsze.

To życie przemija. Zostaje z niego
tylko to, co zapisało się w trwałej
działalności, a w wypadku poety — to,
co zapisało się w poezji, w wierszu.

To prawda, gdy się mówi nad gro-
bem poety: „pozostanie w swojej poe-
zji”. To prawda i jednocześnie to
klamstwo. Przestał istnieć człowiek.
Przestało istnieć życie. Przestało istnieć
to, co było przeżyciem, doświadczeniem,
cierpieniem lub zachwytem. Utwór li-
teracki oddzielił się ostatecznie i wy-
osobnił. Już właściwie nieważne jest,
kto go napisał, jak powstał, jakie uczu-
cia go zrodziły. Utwór istnieje teraz
niezależnie. Wypływa w opinii społecz-
nej lub ulega zapomnieniu, może być
wydobyty po latach. Ułamki poezji
Safony przetrwały poprzez wieki jak
skorupy rozbitego naczyń. Nie wiado-
mo już, czy istniała Safona, a może
była legendą, nie wiadomo dokładnie,
jaki był jej los. Tu wszystko jest le-
gendą, domysłem i dopisem późniejszej
wyobraźni. A przecież dla samej Sa-
fony przeżyć życie — to było najwa-
żniejsze i najtrudniejsze.

Te i wiele innych refleksji budzi
sprawa poetyckich żywotów. Jedną z
najciekawszych książek dotyczących
blisko tych spraw, spraw poezji pisa-
nej życiem i poezji „niepisanej” — jest
wydana przez Wydawnictwo Lubelskie
książka Wacława Gralewskiego „Ogni-
ste koła”. Wacław Gralewski jest chy-
ba specjalistą od psychologii twórczej,
od zawitych spraw pogranicza życia i
sztuki, ma przy tym dar ujmowania i
określenia ludzkich postaci, dar opo-
wiadania i streszczania losów ludzkich
w zamkniętej kompozycji. Nie jest to
zwykła książka wspomnień czy wspo-
minków. To szereg portretów literac-
kich, a właściwie jest to szereg propo-
zycji poematów „niepisanych”, poem-
atów ułożonych przez życie. Nie zawsze

bowiem natura poetycka, nie zawsze
wyobraźnia twórcza, kipiący, ruchli-
wy umysł — emanuje poezją. Gralew-
ski pisząc o poetach i pisarzach inte-
resuje się ukrytymi mechanizmami
procesu twórczego. W pięknym szkicu
o Franciszce Arnsztajnowej rzucił wiele
cennych myśli i spostrzeżeń na ten
właśnie temat. Poetka głęboko czu-
jąca, wrażliwa i dotknięta przez los
wielkimi cierpieniami — nie pisze nig-
dy o nich bezpośrednio. „Świat jej
poezji nie ma ząbień uczuciowych i
nie wyraża wprost zależności serca
i człowieka”.

Obok jednak sylwetek literackich
konstruuje Gralewski sylwetki ludzi
będących jakby poetami bez poezji.
Był nim znany lubelski lekarz Jan
Arnsztajn, któremu tylko nadmierny
krytycyzm przeszkadzał pisać. Godna
poematu jest wielka miłość jego i żony
popelniającej przemysłane samobój-
stwo na jego grobie. „To jakby nowo-
czesna wersja Tristana i Izoldy... Ta
miłość warta jest legendy”.

Poeta bez poematu jest także „kibic
wspaniały”, kibic literacki, jakich zna-
ły różne środowiska literackie. W Lu-
blinie był nim „wulkan pod maską
łagodności i dobrośliwości”, major
Wincenty Skrzywan.

Jednym z najlepszych, najdramatycz-
niejszych portretów jest sylwetka Grę-
dzińskiego, poety, który złamał pióro.
Poezja była „klapą bezpieczeństwa” dla
go ruchliwego, fermentującego umy-
ślu, dla jego niezwykłej wyobraźni.
Decydując się odrzucić poezję — prze-
zwał się do innych form działania.
Wyobraźnia przecież uznana za dome-
ną poetów, może tworzyć nie tylko
poematy.

Nie piszę tu recenzji z książki Gra-
lewskiego. Powołuję się tylko na nią
wspominając o problemie związku
poezji z życiem poety. Odsyłam czytel-
ników do książki Gralewskiego.

Fetiletton nie wyczerpie przecież tej
sprawy, która warta jest i wielkiej
rozprawy krytycznej i także... poematu.



„Czarujący Giulio” w Operetce Lubelskiej. Na zdjęciu Wiesława Kociniak w roli Penny.

O dwóch premierach

KRZYSZTOF GŁOGOWSKI

KAŻDY, kto tylko zetknął się z piosenką i operetką, zdaje sobie sprawę z tego, jak ważny jest tekst dla tych gatunków sztuki oraz jak rzadko tekst ten bywa naprawdę literacki.

Niestety, za tą powszechną świadomością społeczną nie nadążają wysiłki twórców. I dlatego z radia i z estrady nadal „straszy” (choć w piosence pod tym względem jest lepiej), a na scenach operetkowych prawie bez wyjątków króluje, niezdarność językowa, czasem i kompozycyjna. Gdzie te czasy, kiedy z teatrami muzycznymi współpracowali poeci tej miary co Tuwim?

Powysze uwagi nasunęły się po obejrzeniu komedii muzycznej „Serwus Piotruś” niemieckiego kompozytora Gerda Natschinskigo, wystawionej w lubelskiej Operetce.

Libretto „Piotrusia” wyszło spod pióra Alfreda Berga i Hansa Hardta. Nieczęsto można się spotkać z taką nieudolnością kompozycyjną u twórców, bądź co bądź, utworu literackiego. Przez cały pierwszy akt ciągnie się ekspozycja, prawie bez żadnych elementów „dziania się”, wyjaśniająca widzowi „kto z kim i dlaczego”. Polski tłumacz i adaptator (Jerzy Macierakowski) nie spełnił swojego zadania, którym było naprawienie błędów niemieckich kolegów (konieczne było np. skrócenie nieszczęsnego pierwszego aktu i wycienienie dialogów).

Przedstawienie oscyluje między komedią muzyczną a operetką. Na gatunku spektaklu zaważyła indywidualność inscenizatora, reżysera i scenografa — Jerzego Ukłei, który pracując przeważnie z teatrami dramatycznymi bardzo chętnie wystawia też komedie muzyczne.

Konwencji bliższej teatrowi dramatycznemu, w której zrealizowano „Serwus Piotruś” został podporządkowany balet i partie wokalne. Nieliczne wstawki baletowe są tłem dla perypetii, absorbujących swoim rozwojem uwagę widza. Układy choreograficzne Józefa Ignaczaka podporządkowane teatralnej koncepcji całości, miały elementy akcji, nieobcy był im humor.

Na współpracy reżysera teatralnego z operetką najwięcej skorzystali aktorzy. U wszystkich solistów można bez trudu zauważyć podniesienie poziomu aktorstwa, będącego dla niektórych piętą achillesową. Wybór reżysera był w tym wypadku bardzo trafnym krokiem kierownictwa artystycznego Operetki, świadczącym o respektownym myśleniu i stałej trosce o podwyższenie poziomu artystycznego.

Podziw wzbudziła Felicja Jagodzińska, znakomita w roli Ady, żony pisarza. Swą pełną werwą grą i wdziękiem uratowała wspomniany już pierwszy akt od zupełnego rozsypania.

Duże ożywienie wniosła swoim prawdziwie węgierskim temperamentem Krystyna Marynowska, stwarzając bardzo sympatyczną i nie pozbawioną pikanterii postać dziennikarki Ilony.

Emplois aktorskie partnerów tych pań idealnie pasowały do granych przez nich ról: zazdrosnego męża i sprawozdawcy sportowego. Pierwszym był Józef Kasperski, drugim Leon Langer, wnoszący dużo humoru.

Paweł Wojtczak zrehabilitował się w oczach publiczności po niefortunnym występie w „Niespokojnym szczęściu”. Stworzył w „Piotrusiu” pełną komizmu postać dyrektora Puszka. Podobaly się również piosenki i jego wykonaniu.

Muzyka Gerda Natschinskigo miła lecz banalna i nie pozostająca w pamięci.

DAREMNE, przez dłuższy czas, marzenia widzów i prasy o operetce z dobrym librettem zostały wreszcie spełnione. Lubelski teatr podkaszanej muzy wystawił ostatnio „Czarującego Giulio”. Jest to raczej farsa z muzyką, ponieważ ta ostatnia, pióra G. Kramera, stanowi jedynie tło nie przynoszące w dodatku spektaklowi specjalnych wartości. Fabuła została zmaistrowana przez dwóch, jak się okazało, dobrych speców: Garinciego i Giovaniniego. Posłużyli się oni tradycyjnym schematem: para kochanków i przeciwności losu. Dwoje kocha się, a reszta na ogół przeszkadza.

W „Czarującym Giulio” cała historia pojawia się aż w trzech wariantach. Garinci i Giovanini najpierw przypominają widzowi werońską tragedię (ot tak na wszelki wypadek), pokonując na scenie próbę z tego przedstawienia. Potem wcielają w operetkowego Romea Don Juana, dla którego chyba ilość była ważniejsza niż jakość. Julią zostaje wtedy młoda osoba, gotowa, dla zrobienia kariery, na wszelkie poświęcenie nie nazywające się heroicznym. Skomasowane role Capulettich i Montecchich mimo woli bierze na siebie córka i żona Romea. Tak twórczo sponiewierany mit zostaje przywrócony tradycji przede wszystkim w drugiej części widowiska. Julią zostaje współczesna, pierwsza naiwna, czyli nie naiwna, ale w gruncie rzeczy niewinnego serca. Romeo jest zwyczajnym Romeem, a dwóch zwaśnionych ojców (krytyk i aktor) z wiadomych względów potrafi zastąpić całe armie dawnych, poważniejszych rodów.

Niestety, akcja, rozcłonkowana epizodami, traci zwartość, natomiast rzadko się zdarza, aby tekst operetkowy miał tyle paradoksów i zabawnych powiedzeń. „Czarujący Giulio”, przełożony przez Jerzego Kiersta i Zofię Ernst, mimo kilku „niewypałów” jest pod tym względem wyjątkiem. Dużą zasługę mają tłumacze, którzy potrafili znaleźć polskie odpowiedniki dla włoskiego oryginału.

Farsowe dyspozycje tekstu wykorzystała Beata Artemska — inscenizator i reżyser przedstawienia. Dlatego ma ono dobre tempo, śmiały humor i sporo frywolnie zaaranżowanych sytuacji. Konieczne jest jednak pilniejsze przestrzeganie zasady celowości. Nie wiadomo, w jaki sposób skradzioną sukienka znalazła się na właścicielce, i w ogóle po co to romantyczne złodziejstwo, skoro nic z niego nie wynika. Nie wykorzystany został moment przemówienia niemego dotąd Mameluka. Ewentualne błędy scenarzystów mógł naprawić kreślący ołówki reżysera.

Pod kierunkiem Beaty Artemskiej cały zespół osiągnął wyrównany i dość dobry poziom, jeśli chodzi o grę. Nieczęsto to się zdarza.

GAWĘDY O FILMIE POLSKIM

JEDNA PANI POWIEDZIAŁA...

JERZY KURYLUK

„Nie — to nie zabieg formalny, znany zresztą od dawna, wprowadzony tutaj dla „ożywienia” kolejnej naszej gawędy. Ta rozmowa na ławce w warszawskim parku toczyła się naprawdę. Rola niżej podpisanego była nad wyraz skromna: podслуtał niedyskretnie, zapisał później wiernie i nie dodał własnego komentarza, aczkolwiek zdradzi się przed Wami, że podziela zdanie tej pani...”

ONA (lat na oko 25): ...A filmy o wsi? Obejrzałam ostatnio „Wiano”, „Mój drugi ożenek”, „Ubranie prawie nowe” — bodaj w tej kolejności, ale nie o nią chodzi. Słupie prawo serii czy odpowiedź na zamówienie społeczne?

ON (około trzydziestki): Pani Wando, czyż filmów o wsi może być za dużo? O ile dobrze pamiętam, to w roku 1962 była tylko jedna nowela w filmie „Jadą goście, jadą”, w roku następnym „Mam tu swój dom”. I — kropka! Jak na państwo przemysłowo-rolnicze... Z pracy na roli żyje u nas jednak coś 40 procent obywateli, przeszło połowa ludności Polski mieszka na wsi. Brak filmów o wsi uznaję za zjawisko równie zdumiewające, jak niepokojące.

ONA: Więc dobrze, niech będą, ale pod warunkiem, że ilość przeorośnie w końcu w jakość. Zadaję sobie na przykład pytanie: dla kogo są te trzy filmy? Dla nas, mieszkańców, jako część prawdy o wsi i jej mieszkańcach, czy dla nich właśnie, dla tej prawie połowy Polaków? Aby ujrzeć jak w zwierciadle siebie?

ON: Hm, na to pytanie odpowiedzieć nie łatwo. Osobiście sądzę, że — dla jednych i drugich! Film o wsi i dla wsi — to ten sam film. Zawsze byłem zwolennikiem uniwersalizmu sztuki. Nie zgodzę się nigdy na tworzenie getta jej konsumentów, dzielonych (przez kogo?) na smakoszy czy estetów i na resztę — maluczkich rozumem i ubogich duchem...

ONA: Racja! Ale żejdźmy już z tych korników, pomówmy o samych filmach. Jak je odebrałam? Więc zaczynam od „Wiana”. Najlepszy z tej trójki. Udany debiut fabularny twórcy znakomitego filmu krótkometrażowego „Narodzony statku”, Jana Łomnickiego. Nie wszystko tu zagrało, postać nauczyciela wydała mi się papierowa, za dużo było tych wątków, trochę się pod koniec pomieszało — reżyserowi i widzowi. Ale dramat miłosny Bronki — wyszedł, także dzięki świetnej Kucównie.

ON: Tak, ona była wspaniała. Ale historia z tą wędrownką świętego obrazu? Czy to aby typowe? Ostatecznie z filmu wynika, że „rzad dusz” we wsi dzierżą dewotki, że są sprężyną losów wielu ludzi... Taka dyktatura...

ONA: Pan znówu wraca do typowości? Już tyle razy...

ON: Przepraszam — już nie będę! Może istotnie za mocno pragnę filmu o wsi dzisiejszej, która buduje, która rośnie... Niech pani porówna wieś dzisiejszą z przedwojenną!

Szczególnie miłą niespodzianką sprawiła dawna koryfejka baletu Wiesława Kociniak w roli Penny. Sukces zawiązuje umiejętnemu wykorzystaniu swego infantylnego emplotu. Po dalszym udoskonaleniu swego warsztatu aktorskiego, zwłaszcza opanowaniu nietatwej sztuki zachowania się na scenie w momentach, kiedy grana przez nią postać nie bierze czynnego udziału w akcji, mile niespodzianki powinny stać się regułą. Pokazem wdzięku i szyku była gra Xenii Grey w roli Nany, nieco niefrasobliwej matki Penny. Rywalką ich obydwu jest Dorothy, owa młoda aktorka, pragnąca wszelkimi sposobami zdobyć sławę i pieniądze. Cętarza te rolę Aurora Szymanowska, dysponująca dobrymi warunkami zewnętrznymi, które pomogły jej wydobyc pikanterię z granej przez nią postaci. W niektórych scenach z Giulim była zbyt groteskowa — skutek „przeciągnięcia struny” parodii. Giulia Balch, podstarzałego aktora, nie mogącego już być Romeem, zagrał Tadeusz Sosnowski. Leon Langer odtworzył postać Bennego, młodego aktora, ubiegającego się o rękę Penny. Obie te role zostały dość trafnie zagrane, gorzej wypadł śpiew, a szczególnie duet Giulia z Bennym.

Podobaly się postaci drugoplanowe, wśród nich profesor Fontannella zagrany przez Pawła Wojtczaka, wydobytającego z tej roli dużo komizmu bez naruszania dobrego smaku. Dobrze sparodiowany został inspektor policji, jest to zasługa Ryszarda Nowiszewskiego. Trafnie interpretowali swoje role: Mi-

ONA: Przed wojną? Ma pan „Ubranie prawie nowe”? Najbardziej z carych obraz tamtej wsi. Nikt nie myśli o naszym innym, tylko o pieniądzu i seksu — przepraszam — śmiecie. Zwierzęce okazyje. Przeróżna brutalność myśli i czynów. Biologia i fizjologia podane na syntezę. Nie darowano nam niezgo; ze słownictwa na znane litery alfabetu, i gestykulacji wymownej i jednokierunkowej — uroznowianiem tego stylu była srenka przed wychodkiem, z którego wypuszczony przez ojca miłokos wylazi dopinającą przez portki. Dobrze zreszta grana przez znaną zankę miejską sługę, Róża, promowana zostaje przez reżysera Haupego na „baterkę pozytywną”. Nie budzi jednak sympatii u widza, trafnie oceniana jest moralnie podłożę transakcji kupna ośmiolatniego chłopaka przez podstarzałą Różę — na męża.

ONA: Przecież w noweli Iwaszkiewicza... ONA: Tamto była literatura, a to jest film! Rzecz opisana i rzecz oglądana — to dwie różne rzeczy!

ON: Przed wojną, kiedy film się grywał...

ONA: Wiem, wiem — że kontrast, w przemiany, że wczoraj i dziś — i tak dalej i dalej. Z łajna wyrasta dorodne chłozę, nigdy — egzemplarz człowieka. Ani jednego promyczka — a przecież synowie i wnuki tamtych bywali partyzantami w okresie okupacji, dzielili później polską ziemię, dźwigając nową wieś. Jest nie do pomyślenia, aby ktoś się powazył dać taki obraz środowiska robotniczego. Więc można — dlatego, że to chłop? Powtarzam — Iwaszkiewicz stworzył portret psychologiczny, Haupe rozbudował temat, rozszerzył go jeszcze o środowisko miejskie, pokazane równie niesmacznie i nieprawdliwie.

ON: Pozostają przy swoim zdaniu co do czasu trwania akcji... A co z „Moim drugim ożenkiem”?

ONA: Reżyser Kuźmiński do końca oscylował między dramatem a niemal farsą. I znówu anegdota literacka, podobno zresztą autentyczna, z powieści Mortona postawiona za temat filmu o wsi. Anegdota została, atmosfera — wywietrzała. I znówu — morgi, morgi, tylko morgi... Prawdziwy dopust z tymi morgami! Pardon — a jak to bywało ze sprzedażą tejże ziemi i emigracją za ocean? A dzisiaj tyle się mówi o ucieczce młodego pokolenia chłopów z ziemi ojczystej, od tych samych morgów, do miasta. I żadne moratoria, żadne apele i agitacje, a nawet — pozbawienie praw dziedziczenia ziemi — nie mogą sciągnąć z powrotem na wieś tych, co raz zakosztowali rozkoszy życia w mieście, gdzie zamiast morgów uprawiają petunie w doniczkach. Widzę — przepraszam, pragnęłabym widzieć inne tematy w filmie wiejskim. Może dzieje kółka rolniczego? Może krzątanie wokół budowy szkoły? Może walkę dwóch wsi o jej lokalizację? Ręrgyją się wokoło nas takie procesy, jak urbanizacja psychiki chłopca — świętego mieszkańca miasta, jak konflikt wewnętrzny i społeczny chłopca-robotnika, jak kawa czarna zamiast wódki... Kie-y tamte tematy! tamci ludzie, tamta wieś po prostu ukąsa się na polskim ekranie? Namletność! Owszem, ale nie tylko pierwotne. Uczniat! Naturalnie, lecz nie wyłąc nie miłość do „ziemi”. Morgi! Proszę bardzo, ale nie jako cel — wyłączny, wprost obsesyjny...

ON: Więc za dużo czy za mało filmów o wsi?

ONA: Filmów o wsi jeszcze w ogóle nie ma! To były próby, przeważnie mniej udane. Czekam niecierpliwie na film z prawdziwego zdarzenia...

ON: ...i o prawdziwych zdarzeniach! Oha, już piąta — jestem okropnie spóźniony. Do widzenia — może na świetnym polskim filmie o wsi?

ONA: Czemu tak nieprędko? Ale — bez złościwości: czekać i mieć nadzieję!

chał Łuczak, jako reżyser „Romea i Julii” w teatrze Balcha, Jan Fabian, grający w sposób typowy farsowy niemego Mameluka i Henryk Łabuński — Henry, ojciec Bennego, który jako krytyk teatralny druzgoce w swoich recenzjach Giulia. St. sierzantka Smitha i sier. Smith (płci żeńskiej) z powagą należną władzy grali: Józef Ignaczak i Janina Górska.

Ogólnie rzecz biorąc przedstawienie było lepiej grane niż śpiewane, bez wątplenia pewien wpływ na to miała nieefektowna muzyka Kramera.

Bardzo słabo wypadł spektakl pod względem tańca. Znany choreograf Witold Borkowski nie wiadomo dlaczego nie zdołał pogodzić tańców towarzyskich, jak rock-and-roll i tcha-tcha, ze stylizacją baletową. W rezultacie powstała mieszanina, wobec której to, co widzi się na studenckiej zabawie, jest szczytem estetyki.

„Czarującemu Giulio” nie przysporzyły też sławy dekoracje i kostiumy Jerzego Kondrackiego. Użyłował on pogodzie charakterystyczny styl scenografii Ukłei z iluzjonistycznym, tradycyjnym tłem. Mało efektowne i w nie najlepszym guście były wnętrza (szczególnie w II akcie). Zastrzeżenia budziły także kostiumy, przede wszystkim suknie Dorothy i Penny.

Premiery Operetki są przedziwna huśtawka. Dawniej śpiew i strona widowiskowa były lepsze od gry aktorskiej. Przez dwie ostatnie premiery można zaobserwować sytuację odwrotną. Człwvb znaczyło to, że do pełnej równowagi nie jest tak daleko!

Krystyn Henryk Wiercieński

W poniedziałek 18 maja 1964 r. zmarł w Nałęczowie artysta malarz i pedagog Krystyn Henryk Wiercieński.

Od wczesnych lat młodości związany był z Lubelszczyzną niemal przez cały okres swego długiego i pracowitego życia. Urodził się w roku 1876 w Niezabitowie w powiecie puławskim. Mając 21 lat, w r. 1896 rozpoczął studia artystyczne w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, a po jej ukończeniu przebywał przez pewien czas w Monachium i Florencji. Do Polski powrócił w r. 1905 i zamieszkał w Lublinie, gdzie dał się poznać jako znakomity pedagog, który wykształcił wielu lubelskich artystów. Jego uczniowie do dziś zwracają uwagę na naszym terenie. Brał czynny udział w pracach Związku Artystów Plastyków w Lublinie, którego był współorganizatorem w r. 1936. Przez cały ten okres kilkudziesięciu lat wiele malował, nawet wówczas, kiedy operacja wzroku w poważnym stopniu ograniczyła możliwości pracy twórczej. Ostatnie lata spędził w Nałęczowie nadal malując. Brał udział w wystawach lubelskich i poza Lublinem, a w r. 1962 miał wystawę retrospektywną wraz z S. Dylewskim i K. Westfałem w salach lubelskiego BWA. W tym roku otrzymał nagrodę wojewódzką za całokształt działalności pedagogicznej i artystycznej. Prace jego znajdują się w zbiorach Muzeum Lubelskiego i osób prywatnych. Specjalizował się w malarstwie portretowym. Dorobek twórczy Wiercieńskiego stanowi zespół dzieł o jednolitym charakterze formalnym i interpretacyjnym, nawiązującym do tradycji portretu reprezentacyjnego. Portretując wybitne osobistości czasów Mu współczesnych utrwalił tym samym część historii Lublina. (I. K.)

PRZEGLĄD PLASTYCZNY

PRZED kilku laty, w r. 1958 w foyer Teatru Żydowskiego w Warszawie widziałem wystawę, którą szczególnie pamiętam: szare i czarne, poprzecznie białe, kompozycje prostokątów i kwadratów tworzyły przynajmniej rzeczowo, nie pozwalając jednak przejść obojętnie — zmuszając do uczestnictwa.

Zbigniew Makowski, absolwent warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych (1956, dyplom), wiele wystawiał w kraju i za granicą, a prace jego znalazły miejsce w muzeach Warszawy, Miami na Florydzie i Sao Paulo, żeby wymienić najważniejsze. W tym kilkuletnim okresie twórczości Makowskiego kierowała konsekwentnie przestrzeganą zasadą, którą mniej więcej tak sformułował, udzielając odpowiedzi podczas spotkania z lubelską publicznością: robię to, na co mnie stać, wiedząc, co zrobiono dotychczas, a nie znajdując tego w rzeczywistości zewnętrznej.

Wspominana przed chwilą zasada wyznacza charakter retrospektywnej wystawy niewielkich prac malarsko-graficznych

Makowskiego, otwartej z udziałem autora w klubie „Zamek” WDK w maju br. Wśród kilkudziesięciu realizacji najbardziej ciekawe wydają się rysunki tuszem, pochodzące z ostatnich trzech lat.

W granice formatu papieru „wrzucą” Makowski na pozór bezładnie elementy, które w jakiś sposób są nam znajome i realne, ale wyrwane z dotychczasowego środowiska i kontekstu ulegają nowym prawom, nabierając odmiennego wyrazu i znaczenia. Właśnie znaczenia, bo każdy z nich posiada bogatą warstwę semantyczną spotęgowaną jeszcze nową i niekonwencjonalną sytuacją. Początkowo identyfikujemy: oto schody i odcinki rur, może zęby zwykłej kosiarki, kości do gry, aksometryczne rysunki labiryntu budynku — aż w pewnym momencie zaczynamy przesuwać i rozumieć, że te „przedmioty” i formy pełnią całkowicie odmienną funkcję: nie obrazowania, lecz prowokowania wyobraźni i intelektu, czemu zdaje się służyć jednocześnie wprowadzenie tekstu literackiego, który obok funkcji czysto plastycznej, pozwala głębiej wnikać w isto-

ty intencji malarza. Ogólnie biorąc, prace Makowskiego pokazane na „Zamku”, wykazują wiele związków z poetyką surrealizmu. Są także rodzajem przegrody artystycznej, a może zabawy. „Zabawy”, ale w takim sensie tego słowa, jakie nadał mu Hulsinga — tworzącej kulturę ludzką.

Tendencja reprezentowana przez Makowskiego jest coraz bardziej żywa w obrębie sztuki współczesnej, z tym jednak, że przy pomocy odmiennych metod realizowana, począwszy od dadaistycznej w swej proweniencji grafiki Amerykanina Roberta Rauschenberga, laureata ubiegłorocznego Biennale w Lublinie, a skończywszy na pewnych pracach znanych z warszawskich „Konfrontacji 67”.

Z tekstem pisany spotkamy się także na innej wystawie otwartej również w maju w salach lubelskiego BWA, na której Marek Holzman pokazał kilkadziesiąt fotografii, opatrzonej całości tytułem: „Sposoby widzenia”. I zgodnie z zapowiedzią udowodniła, że istnieje wiele możliwości utrwalania kształtów świata, wiele metod umożliwiających jego penetrację, pomimo że dysponuje jedynie martwym obiektywem. Wystawa posiada charakter niejako dowcipnie dydaktyczny, przechodzący często w persyflazę, czemu w znacznym miarze służy właśnie pisany komentarz: na fotografię (co występuje jednak najrzadziej i nie spełnia funkcji, z którą zetknęliśmy się u Makowskiego), z boku lub nad planszą, a także na odwrócić fotografię. Komentarz ten początkowo rzeczowy i zwięzły wyjaśniający pewne fakty z zakresu fotografii w ogóle, w miarę zbliżania się do części wyodrębnionej papierową girlandą staje się coraz bardziej kpiny. Część ta zatytułowana „Z wielkiej księgi kiczu” budzi zrozumiałą sensację, szczególnie u nas w Lublinie, gdzie wszelkie wystawy obchodzą się z niezwykłym namaszczeniem i powagą. Bo i czy ktoś widział na poważnej wystawie wianienkę napełnioną wodą, w której pływają kwiatki, a całość wieńczy napis: „dla miłośników naturalizmu w sztuce”? A co tu robią „wspaniałe” ręcznie (!) malowane makatki z jeleniami, nie mówiąc już o dziewczycy z łabędziami? Naokoło zaś fotografie podobnych makatek oraz kolekcja tatusia obok lapidarnego „Autoportretu artysty”. Podczas pobytu na wystawie przekonałem się jednak, że nie wszyscy zrozumieli sens satyrycznego dowcipu Holzmana.

Popozostała część ekspozycji prezentuje reporterski i portretowy dorobek znany w większości wypadków z wystaw lub z prasy. Holzman nie powtarza się i w tym również leży uzasadnienie nazwy wystawy. Nie spotkamy portretów wskazujących na podobne i konwencjonalne ujęcia, ponieważ w każdym wypadku, w zetknięciu się z inną osobowością autor podkreśla jej indywidualność, typ psychiki i zaintereso-

wań. Znakomitym przykładem może być portret ludowego rzeźbiarza Kudły, słynącego pod krainą obok stoła, na którym przystąpił jego rzekby: ciężkawe, naiwne i szczerze — takie jak Kudła. Holzman jeszcze raz potwierdza, że fotografia to nie tylko szybki refleks i fotografia, ale przede wszystkim świeżość spojrzenia dostrzegającego fakty i zjawiska, które na co dzień wymykają się z naszej obserwacji, a być może określają treść ludzi i świata. Chcąc jednak wydobyc te treści i urodę należy dokonać selekcji. Dlatego Holzman częstokroć rezyduje swoje fotografie, nawet reportażowe („Tacy jesteśmy”).

Obydwie omówione powyżej wystawy stały się dużym wydarzeniem w życiu kulturalnym Lublina, wzbudzając znaczne zainteresowanie nie tylko w środowiskach twórczych. Należy jedynie żałować, że tak ciekawe ekspozycje zawierające bogatą i aktualną problematykę artystyczną, tak rzadko trafiają do Lublina.

Niemal w tym samym okresie w obu mniejszych salach Biura Wystaw Artystycznych po raz pierwszy widzieliśmy drzeworyty Zenona Kononowicza, znanego dotychczas przede wszystkim ze świetnej twórczości malarskiej i rysunkowej. O tym, że mamy do czynienia z malarzem, którego zainteresowała grafika, przekonują same drzeworyty zrealizowane przy pomocy szerokich i nerwowych rytów przypominających malarskie métier Kononowicza. Potwierdza to także pewna świeżość kilku prac oraz rozbieżność powierzchni na drobne elementy przynoszące wrażenie ruchliwości. Tematycznie drzeworyty wiążą się z pejzażem lubelskim, z martynistycznym i z portretem.

Na zakończenie pragnę podać kilka informacji z Krakowa, które dotyczą lubelskich grafików. Jak wiadomo, na początku maja br. otwarto w krakowskim Pałacu Sztuki III Biennale Grafiki, stanowiące najpoważniejszą w kraju imprezę tego typu. W Biennale uczestniczy ponad 200 grafików reprezentujących różne tendencje polskiej grafiki, lecz dominujące wydaje się dążenie do semantyzacji znaku graficznego. Wśród wystawiających znalazły się cztery nazwiska grafików lubelskich: Z. Kopel-Szulec, H. Szulec, A. Socha-Jelonkowska, Z. Strzałkowski. Prace naszych plastyków nie należą do najlepszych, trzeba jednak pamiętać, że poziom tegorocznego Biennale jest bardzo różnorodny. Obok znakomitych linorytów Gielniaka, „metali” Chrostowskiej, czy akwafort Majewskiego, widnieje grupa całkowicie już nieinteresująca. Przeważają techniki metalowe, monotypię wyeliminowaną jako technikę, która nie posiada wiele wspólnego z grafiką.

Ireneusz J. Kamiński

A miłość?

WALDEMAR Babinicz, pisarz znany ze swych terenowych penetracji, odkrył na łamach „Polityki” czytelniczą kontrabandę, która w wielu ludzi zapewne wywołuje szok. A więc czyta się „Trędowną”, kolportuje jej się z ręk do rąk, a gdy nie staje uszczonę — wędrowną i nie wznawianego przecież w wydawnictwach druku — znajdują się benedyktyńscy przepisywacze, którzy skrobią w zeszytach, strona po stronie izaż historię pięknej Stefci i ordynata Michorowskiego, by puścić to potem w świat. I tak Mniszkówna krąży po kraju w ręcznych odpisach, zażywając sławy, a jakiej marzyłby niejedyn współczesny literat.

Zjawisko jest fascynujące. Wprawdzie autor tego odkrycia ostrożnie szacuje liczbę czytających na trzy, może cztery tysiące i umiejscawia kręgi czytelnice w małych miasteczkach i na wsi, ale podejrzewam, iż sprawa przerasta tak wytyczone regiony. Nie dlatego, aby odpisy melodramatu miały się rozchodzić w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, bo kto wie, czy naprawdę jest ich nawet pół tysiąca. Idzie o rzecz daleko poważniejszą. Nie myślę teraz o czytelnikach, którzy już zakosztowali „Trędowną”, myślę o tych, którzy może nigdy jej nie wezmą do ręki, ale w gruncie rzeczy czekają na ów dzień, gdy ktoś podsunie im coś takiego, gdyż są jak struna wyczulona na pewien szczególny impuls zdolny rozdygotać ją rezonansem. Gdybyż tylko małomiasteczkowe i wiejskie panny! Podejrzewam, że trąd wnika głęboko w metropolię, gdzie rodzą się kanony literackiego smaku. Kalekie istoty, jaskiniowcy, którzy cudem przetrwali do naszych lat owocujących wartościową literaturą? A jednak nie trzeba się nad nimi natrząsać, lecz raczej pomyśleć, jak to się stało, że wyhodowała nam się ta czytelnicza pleśń.

Okazuje się, że etiologia trądu Mniszkówny jest bardzo prosta. Przepisywacze prozy tej autorki nie mają żadnego szacunku dla opisów przyrody, pomijają wszelkie dłużyzny tekstu. Sami zapewne nie wiedzą, że pracują metodą amerykańską, nadając dziełu kształt komiksu. Ważna jest syntetyczna treść, a w niej to coś, co przykuje czytelnika. Ten ostatni bez wahania powiada, że magiczne jądro sprawy stanowi po prostu miłość. A propos, co winni jesteśmy miłości w XX-lecie naszej powojennej literatury?

Przebiegam myślą książki wszystkich naszych autorów, odświeżam jakże ważne rozrachunki od „Września” po „Ciemności kryją ziemię”, zastanawiam się nad miłością „Władzy”, patrzę na „Spizowe bramy” i dziwię się, bardzo się dziwię, jak też mogło zabraknąć ludzkiej, zyczajnej miłości. Nie ma jej na kartach tych często świetnych książek, albo pojawia się na ich peryferiach jak rzecz mała, wstydliwa, nie godna osobnego dzieła. I tu tkwi tajemnica powodzenia komiksu Mniszkówny. A zrazem — wierzę, nie wierzę — jakiś probiez związku współczesnej naszej literatury z życiem. Mielśmy polityczne rozrachunki z lat narodzin władzy ludowej, pisaliśmy o tym powieści, ale tymczasem mężczyźni i kobiety nie przedstawiali się kochać. Mielśmy potem murarzy i traktorzystki, usiłując wierzyć, że reprodukcja istoty zwanej człowiekiem następuje mechanicznie bez uczuć zwanych miłością. Teraz znów dyskutujemy o młodzieży, widzając albo chuliganów, albo mistrzów cybernetyki. A cóż, u diabła, dzieje się tymczasem z miłością, zginęła, przepadła?

Nasi nastolatkiowie przeżywają nie mniejsze miłosne porwy niż ich poprzednicy z jakiegokolwiek wcześniejszej epoki. Wprawdzie w naszym świecie to i owo ulega uproszczeniu, ale nawet dziś, gdy pewne sprawy zalatują się poprzez „chatę i szkło”, dla większości uścisk ręki kochanej istoty to jednak coś wielkiego. Przepowiadam ogromne powodzenie książce o miłości, którą napisze współczesny pisarz obdarzony kulturą i subtelnością uczuć. Wtedy Mniszkówna przestanie krążyć.

Jędrzej

KŁOPOTY z czasem wolnym

PROBLEM wolnego czasu uznawany jest za jeden z węzłowych w życiu współczesnym, przy czym następcza on mnóstwo trudności, kiedy podejmuje się jego teoretyczne i socjologiczne rozważanie, kłopoty zaś praktyków od organizacji czasu wolnego są powszechnie znane. Odczuwa się w kraju brak publikacji na ten temat, co nie pozostaje bez wpływu na aktualny stan znajomości tej złożonej problematyki wśród pracowników kultury i działaczy społecznych. Warto więc przypomnieć o pracy włoskiego autora poświęconej czasowi wolnemu*, która ukazała się w r. ub. w przekładzie polskim.

Gianni Toti, przypominając w wstępie poglądy starożytnych Greków, że „człowiekiem jest się przede wszystkim w godzinach wolnych” co później w innych warunkach historycznych i w odmiennym kontekście ideologicznym wykorzystuje K. Marks tworząc pojęcie wolnej pracy i twórczego czasu wolnego w społeczeństwie bezklasowym — stoi na stanowisku, że czas wolny i wynikające zń konsekwencje społeczne i kulturowe są wyrazem współczesnego układu stosunków społecznych i zatem wszystkie niebezpieczeństwa społeczne oraz moralne, jakie wynikają ze sposobu użytkowania czasu wolnego, mają swe źródła w konfliktach i antagonizmach rozdzierających współczesne społeczeństwa przemysłowe (np. autor zwraca uwagę na fakt, że środki masowego przekazu w krajach zachodnich urabiają gust i przyzwyczajenia szerokich mas pod kątem akceptacji istniejącego stanu rzeczy). Jest to stanowisko odmienne od tego, jakie zwykli zajmować pewni socjologowie zachodni, dla których czas wolny jest jedynie kwestią umiejętności organizacji, higieny wypoczynku, właściwej terapii psychologicznej itp. Teoretyk włoski nie neguje jednak faktu, że w społeczeństwach socjalistycznych, gdzie

nie zniesiono jeszcze dualizmu praca — czas wolny, ten ostatni stanowi sam w sobie dziedzinę życia i działalności wymagającej gruntownej znajomości człowieka, jego społecznych i kulturalnych potrzeb, dążeń i możliwości.

Cytując powiedzenie znanego socjologa amerykańskiego, D. Riesmana: „bez wątpienia wielu z nas źle się czuje w świecie, w którym z coraz większą natęczyłością pytają nas, czy jesteśmy tak dobrymi partnerami zabaw, jak pracownikami”, Gianni Toti szeroko rozważa trudności współczesnego człowieka ustawicznie usiłującego przystosować czas wolny do własnych potrzeb, pragnień i aspiracji.

Wykorzystuje przy tym wyniki badań i obserwacji dokonanych w wielu krajach Europy i Ameryki. Niekiedy badania te przynoszą rezultaty zaskakujące. Oto np. badania włoskie i zachodniemieckie ujawniły, że krótkie wypoczynki niedzielne, lub kilkudniowe, powodujące gwałtowne zahamowanie aktywności organizmu i psychiki ludzkiej na przeciąg krótkiego czasu — sprzyjają zawałom serca po powrocie do pracy (medycyna zna zjawisko tzw. „szczytów poniedziałkowych”). Zaleca więc wypoczynki dłuższe, gdyż skutki wypoczynku urlopowego odczuwane są dopiero w trzecim tygodniu urlopu.

W książce poświęcono dużo miejsca funkcjom, jakie spełniają środki masowego komunikowania, i tutaj autor-marksista dostrzega niebezpieczeństwa dla rozwoju ludzkiego i autentycznej kultury. Pisze on: „wprawdzie doskonale wiadomo, że jest to niestety żądanie paradoksalne, ale trzeba walczyć o zlikwidowanie biernych gier i zabaw, biernego gromadzenia się mas ludzkich przed radiodbiornikami, telewizorami... które każą oglądać i słuchać to samo wszystkim... które nie zapewniają żywego kontaktu między ludźmi, rozmowy, dyskusji...”

„Czas wolny” G. Totiego warto polecić szerokim kręgom inteligencji, a nade wszystko pracownikom instytucji upowszechniania kultury. Ale często-kroć nie mają oni, niestety, czasu na tego typu lekturę organizując czas wolny dla innych, co jest jeszcze jednym niepokojącym zjawiskiem w rozległej problematyce czasu wolnego.

Aleksy Bornus

* Gianni Toti: „Czas wolny”. Książka i Wiedza 1963.



Natomiast kręgi wyższe kulturalne do konują selekcji. Ze wszystkich funkcji telewizji zdecydowanie na plan pierwszy wysuwa się jej funkcja rozrywkowa — film, przedstawienia kryminalno-sensacyjne. Zgodnie z istotą telewizji kształtuje ona typ odbiorcy biernego, przyjmującego, nie wywołującego żadnej aktywności widza. Wyraźnie destrukcyjny wpływ ma telewizja na amatorski ruch artystyczny. Dostępnego przyczyna tak została sformułowana: „Nigdy nie wystawimy przedstawienia tak jak w telewizji, więc po co się męczyć”.

OSTATNIE numery prasy społeczno-kulturalnej i literackiej upłynęły pod znakiem rocznic — Uniwersytetu Jagiellońskiego, urodzin Szekspira — oraz dni prasy i książki. Te ostatnie stały się okazją ponownego podjęcia problematyki książki w najbardziej różnych aspektach. W sposób zasadniczy i pogłębiony ujęła wiele zagadnień kultury, zwłaszcza dotyczących wsi i małych miast, **Więść Współczesna**. Interesujący materiał przynosi artykuł J. Ankudowicza „Książka w małym mieście”, który próbuje zdać sprawę z prowadzonych ostatnio badań nad czytelnictwem książki. Sytuacja panująca pod tym względem w małych miastach nie wygląda najlepiej. Mówi o tym konkluzja artykułu:

„Czytelność książek w małych miastach nie jest zjawiskiem powszechnym. Poziom wykształcenia ogólnego i zawodowego, brak tradycji i nawyki czytania nie stwarzają warunków dogodnych dla rozwoju czytelnictwa indywidualnego (tzn. nie opartego na zorganizowanych instytucjonalnych formach). Pewne nadzieje na rozwój czytelnictwa można wiązać z rocznikami najmłodszymi, które już po wojnie ukończyły szkołę, ale i ten fakt nie przesądza rezultatów, badania bowiem wykazują, że znaczny odsetek absolwentów szkół podstawowych zupełnie zrywał kontakt z książką”.

Wyniki badań czytelnictwa sygnalizują więc pewien jego kryzys. Swego czasu w tej rubryce omawiany był artykuł S. Zółkiewskiego, który wyjaśniał powody tego kryzysu rozwojem kultury masowej i nowych form masowego przekazywania treści kulturalnych. Poświadcza też to inny artykuł z tego samego numeru „Wsi Współczesnej” — J. Rudzkiego „Telewizja wśród młodzieży wiejskiej”.

Autor bada różnoraki wpływ telewizji na środowisko wiejskie. Siłą rzeczy wybór paść musiał na wsie bardziej kulturalnie wyrobione i o dużych tradycjach działalności w tym zakresie. Wyniki są zastanawiające. We wsiach, a także u ludzi najmniej wyrobionych, oglądanie telewizji zabiera cały wolny czas. Ogląda się z reguły wszystko, bez jakiegokolwiek wyboru.

Jak może wyglądać mądre przeciwdziałanie, jeśli się można tak wyrazić? Od niedawna prowadzona jest na przykład niezwykle pożyteczna inicjatywa „Więść bliżej teatru”. Na wsi znajduje się potencjalny masowy widz i odbiorca teatru, autentycznej sztuki. Tego tematu dotyczy (choć nie mówi o widzu wiejskim) ciekawy artykuł W. Natanson „Obecna sytuacja teatralna a miłośnictwo teatru”, drukowany w miesięczniku „Kultura i Życie”. Teatr, któremu od dawna przepowiadano skostnienie i zagładę, rozwija się nadal i zmienia. Oto wnioski z obserwacji autora:

„Widzowie naszego teatru zyskują coraz silniejszy i bardziej aktywny wpływ nie tylko na odbiór sztuki teatralnej, ale i na jej kształtowanie. W związku z tym nasuwa się potrzeba znalezienia form, które by temu kształtowaniu czy współkształtowaniu dawały wyraz. Jedną z tych form mogą być np. dyskusje z widzami, organizowane przez Kółka Miłośników Teatru. Widzowie mogą tu zająć stanowisko zarówno wobec spektakli poruszających wielkie współczesne zagadnienia filozoficzne czy moralne, jak i wobec tych, które sięgają po troski codzienne, jakie nasuwa życie”.

Na zakończenie chcę wymienić pismo, które w przeglądach prasy na ogół się nie pojawia. Jest pismem dla specjalistów, jak wiele wydawnictw z zakresu kultury antycznej. Mam na myśli „Eos”. Wspominam je tu przede wszystkim ze względu na osobę, której zostało poświęcone, zmarłemu w 1962 r. prof. S. Srebrnemu, znakomitemu tłumaczowi i znawcy literatury antycznej. Poświęciła mu wspomnienie w „Eosie” Z. Abramowiczówna. Oto parę zdań z zakończenia:

„Mało kto pozostawia po sobie pamięć tak nieskazitelnej prawości osobistej i naukowej, tak zupełnej bezinteresowności i skromności w życiu. Tak wyłącznego oddania nauce i sztuce bez myśli o korzyściach osobistych, takiego umiłowania ideałów humanistycznych. Kochając głęboko Helladę, miał umysł i serce otwarte na piękno i wartość także innych kultur, jak najdalej był od wszelkiej ciąsnoty, wyłączonej, miłośnikowskiej. Sympatia dla ludzi, życzliwość, dyskrekcja i niezmierna delikatność wręcz promieniowały od Niego. Niczego nie osiągnął cudzym kosztem, nikomu chyba przez całe życie nie wyrządził przykrości”.

T. K.

określony jest czas pracy w okresie przedporodowym. Ale różne są rodzaje pracy. W tym wypadku chodzi mi o kelnerki, konduktorki itp., a więc kobiety pracującą na tzw. widoku publicznym. Często się zdarza widzieć w kawiarniach, restauracjach, czy jadłodajniach kelnerki w ciąży. Czasem robią wrażenie, że poród nastąpi lada chwila. Są blade, roztargnione, a nawet jakby z wyrazem cierpienia na twarzy. Poruszanie się i to sprawne jest utrudnione.

Taka wystawiona na widok publiczny kobieta w stanie błogosławionym nie daje estetycznego widoku, a i sama jest bardzo zażenowana.

Widziałem ostatnio w Chełmie Lubelskim taki obrazek. Kawiarnia i bar w jednym lokalu (ul. Lubelska). Czyna na od 16-iej. Wszedłem, aby wypić małą czarną. Obok przy dwóch stolikach siedzieli kilku podchmiślonych osobników. Pili alkohole i mocną kawę (tak zwanego szatana). Obsługiwała, jedna jedyna w lokalu, kelnerka w ciąży. Tak na oko niemal w dziewiątym miesiącu. Oczy miała rozszerzone jak po atropinie.

Jeden z pijaków zachował się wobec niej agresywnie. Odsunęła się gwałtownie i wskazała palcem na siebie.

— Mnie to nie przeszkadza — zachichotał brutal. A inni mu zawtórowali.

Opuściłem „kawiarnię” i pomyślałem: — przecież to można zmienić jednym ludzkim zarządzeniem.

As

KRONIKA KULTURALNA

LUBLIN

DWUDNIOWA SESJA NAUKOWA zorganizowały w Zamościu (23 i 24. V.) władze uniwersyteckie UMCS dla uczczenia Tytułu Państwa Polskiego, Dwudziestolecia Polski Ludowej i Roku Ziemi Lubelskiej. Pod patronatem wicepremiera Zenona Nowaka, na temat „Zamość i Zamojszczyzna w dziejach i kulturze polskiej”.

W obradach uczestniczyli m. in.: wicepremier Zenon Nowak i przewodniczący Prezydium WRN w Lublinie mgr Paweł Dabek. W pierwszym dniu wygłoszono cztery referaty: prof. dra Stanisława Herbsta z Uniwersytetu Warszawskiego nt. „Przesłanie Zamościa i Zamojszczyzny: gospodarka i kultura”, prof. dra Franciszka Uherczaka z UMCS „Geograficzno-przyrodnicze podstawy rozwoju województwa lubelskiego ze szczególnym uwzględnieniem Zamojszczyzny”, mgr Jerzego Markiewicz z Bilgoraja „Ruch oporu w Zamojszczyźnie w latach okupacji hitlerowskiej 1939—1944” oraz przewodniczącego Prezydium MRN w Zamościu mgr Eugeniusza Zgniecia „Zamość i Zamojszczyzna w okresie Polski Ludowej: dorobek i perspektywy rozwoju”. W drugim dniu obrad zajął prowadzone były w 3 sekcjach: badań nad przeszłością i kulturą, badań nad historią najnowszą, badań nad geografią i przyrodą oraz ekonomiką Zamojszczyzny. W dyskusji w sekcji badań nad przeszłością i kulturą zabierali m. in. glosi: prof. dr Janina Garbaczewska na temat Szymona Szymonowicza i jego sielanek i prof. dr Jan Dobrzański, który mówił o programie studiów w Akademii Zamojskiej — obydwójce z UMCS, oraz doc. dr Adam Miłobędzki z UW — o rozwoju koncepcji urbanistycznej i rozbudowie Zamościa od czasów Bernarda Morandiego do Mallet-Malletskiego. Dwudniowe obrady podsumował prof. dr Kazimierz Myśliński, a ostatnie, zamykające sesję przemówienie, wygłosił sekretarz KP PZPR w Zamościu Józef Staromyński.

W CHELMIE odbyła się w dn. 5 i 6 czerwca Sesja UMCS. Po otwarciu Sesji przez rektora Uniwersytetu prof. dr Grzegorza Seidlera wygłosił referaty w pierwszym dniu: doc. dr S. Krzykała pt. „Front narodowy”, doc. dr W. Skrzydło „Władza”, dr P. Karpiuk „Życie gospodarcze”, w drugim dniu: dr Z. Mańkowski — „Kultura, oświata, prasa” i doc. dr J. Makarczyk — „Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej”. W czasie sesji została otwarta wystawa dokumentów i materiałów okresu PKWN, opracowana plastycznie przez M. Jelonkę, wg scenariusza mgr Artura Iskryckiego; przy udziale dyrektora Biblioteki UMCS T. Smolki.

BIAŁYSTOK

WOJEWÓDZKI DOM KULTURY wreszcie sięga po atrakcyjniejsze niż dotychczas formy działalności. Oto ostatnio odbył się wieczór poezji, plastyki i muzyki. W pierwszej jego fazie imprezie przewagę miała poezja. Wiersze T. Sokoła, A. Masłowieckiego i A. Kazberuka czytali aktorzy G. Galiński i M. Maszyński. Następnie twórcze potów omówił krytyk „Współczesności” Piotr Kuncewicz. Oprawę stanowiły pieśni wykonane przez słuchaczy Szkoły Muzycznej oraz obrazy biłostockich artystów — małżonkwa Łabanowskich, Chudziaka i Zinkowa. Mimo niedociągnięć inicjatywa ta zasługuje na uznanie i po dopracowaniu szczegółów może stać się ciekawą formą popularyzacji sztuki.

ROZSTRZYgniĘTO KONKURS NA PAMIĄTKĘ i upominek z regionu biłostockiego. Pierwszych nagród nie przyznano, ale konkurs przyniósł 19 nagród i wyróżnień, a ok. 70 wzorów zakwalifikowano do produkcji. Jak zapewniają organizatorzy, z końcem czerwca pierwsze upominki ukazać się w sprzedaży.

WYDZIAŁ KULTURY PMRN w związku z XX-leciem PRL i Dniami Białostoku przygotowuje obecnie album pt. „Białystok” ukazujący osiągnięcia budownictwa miejskiego w rysunkach znanego trójmiejskiego „Kamery” rysownika Henryka Wilka. Opracowanie graficzne — J. W. Brzoza, Tekst (tłumaczony na cztery języki) — St. Świerad.

KIELCE

OTRZYMALISMY NOWA, CIEKAWA I POZYTYCZNA IMPREZĘ, — „Pisarze Iskier w Kielcach” — pod takim hasłem wydawnictwo warszawskie wspólnie z Komitetem Wojewódzkim ZMS i Miejską Radą zorganizowało przyjazd do Kielc 21 autorów współpracujących z Wydawnictwem „Iskry”. Obecni byli między innymi: Magda Leja, Natalia Rolliczek, Tadeusz Hołuj, Jerzy Lovell, Stanisław Grochowiak, Janusz Krasński, Grzegorz Jaszowski. Poeci, prozaicy, reportażysty zwiedzili jeden z najpiękniejszych zakątków Kielecczyny, Św. Katarzynę, wzięli udział w kiermaszu książek, a następnie w kilkunastu klubach, szkołach i świetlicach odbyłi spotkania autorskie. Tak szeroko zakrojonej imprezy literackiej nie mieliśmy jeszcze do tej pory w Kielcach. Itanga jaka wzięcie pisarzy nadali gospodarze spotkania — działacze ZMS-u — pozwała rokować nadzieje, że współpraca Wydawnictwa „Iskier” nosić będzie charakter trwały. Dał temu wyraz redaktor naczelny wydawnictwa Jerzy Wittlin.

Unia

ROZSTRZYgniĘCIE KONKURSU

Wydział Kultury Prezydium WRN w Lublinie, Lubelski Oddział Związku Literatów Polskich oraz redakcja „Kamery” zorganizowały konkurs literacki na wspomnienie, poświęcone, reporterów lub esejistów z Lubelszczyzny w okresie 20-letniej Polski Ludowej.

Celem konkursu było podjęcie przez czołową problematyki społeczeństwa Lubelszczyzny. Jego przedmiotem ideowych, intelektualnych i obywatelskich na przestrzeni ostatnich 20 lat.

Jury konkursu w składzie: Andrzej Bielski (przewodniczący), Marian Bechcysz-Rudnicki, Edward Nadeśka i Roman Rosiak, po zapoznaniu się z nadesłanymi pracami, postanowiło, na posiedzeniu w dniu 15. VI br., pierwszej i drugiej nagrody nie przyznawać.

Przyznano natomiast 3 nagrody po 10.000 zł, które otrzymali:

Edward STACHURA za pracę „Pod Annapolem” (godło „Lublin”), **Jerzy KSIĘSKI** za pracę „Mała kolejowa stacja” (godło „Tanew”), **Zbigniew STEPEK** za pracę „Rzecz o wiesniaku Manifestu” (godło „Mika”).

Poza tym otrzymali wyróżnienia po 2.000 zł:

Henryk SZYBOWSKI za pracę „Słomiane piramidy” (godło „Rapsodia”), **Zygmunt MIKULSKI** za pracę „Czas po brzegi” (godło „Stefan”), **Tadeusz TLUCZKIEWICZ** za pracę „Piosenka o niebieskich oczach” (godło „Molodoc’ki”), **Janusz DAK** za pracę „Wywołanie” (godło „W-64”) i **Leon JABLONSKI** za pracę „Spotkanie” (godło „Biały płaszcz”).

Prace nagrodzone i niektóre z wyróżnionych zostaną wydrukowane w „Kamencie”.

KSIĄŻKI NADESLANE

PRZEZ PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Flodor Abramow i inni — Wysoka fala — przekład zbiorowy, Warszawa, 1964, wydanie pierwsze.
Ford Madox Ford — Dobry żołnierz — KIK, opowieść o miłości, przełożył Tadeusz Jan Dehnel, Warszawa, 1964, wydanie pierwsze.
Helena Zaworska — O nową sztukę, Polskie programy artystyczne lat 1917—1922, Warszawa, 1963, wydanie pierwsze.
Włodzimierz Fomienko — Rozstanie z ziemią, przełożył Tadeusz Mongird, Warszawa, 1964, wydanie pierwsze.
Illa Selewski — Polowanie na tygrysa i inne wiersze, wybrał Włodzimierz Słobodnik, Warszawa — 1963, wydanie pierwsze.
Mikołaj Asiejew — Nadzieja — wiersze wybrane, wybrał Anatol Stern, Warszawa, 1963, wydanie pierwsze.

Wiktor Koniecki — Fala 19.929, przełożyła Marta Okołów-Podhorska, Warszawa, 1963, wydanie pierwsze.

Stanisław Baczyński — Pisma krytyczne, wyboru dokonał i wstępem poprzedził Andrzej Kijowski, Warszawa 1963, wydanie pierwsze.

Maung Htin Aung — O złotym Zółwiu, Bajki Birmanskie, przełożyła Aleksandra Frybesowa, Warszawa, 1963, wydanie pierwsze.

Stefan M. Kuczyński — Rzeczywistość historyczna w „Krytykach” Henryka Słobkiewicza, Warszawa — 1963, wydanie pierwsze.
Julian Tuwim — Wybór poezji, wyboru dokonał Antoni Słomkowski, Warszawa, 1963, wydanie drugie.
Michał Sprusiński — Popołudnie, Warszawa, 1963, wydanie pierwsze.
Zdzisława Koczyńska, Lucyła Percełowska — O wierszu romantycznym.

PRZEZ WYDAWNICTWO LUBELSKIE

Eugeniusz Mysłowski — Z dzieł PPR, GL i AL w powiecie lubartowski (1942—1944).

Z dzieł polskiej Partii Robotniczej na Ziemi Białostockiej.

Materiały z sesji popularno-naukowej Ireneusz Gwidon Kamiński — Białe wrony, Lublin 1962.

Józef Czechowicz — Wiersze, wstęp Roman Rosiak, wiersze oryginalne zebrali i do druku przygotował Stanisław Pietak, Seweryn Pollak, Jan Spiewek. Wiersze dla dzieci zebrali Czesław Januszak, przekłady zebrali i do druku przygotował Kazimierz Andrzej Jaworski, Lublin, 1963.

Drzazgi społeczne

Stan błogosławiony ale...

MACIERZYŃSTWO, że się tak wyrażę, miało zawsze bardzo dobrą prasę. Błogosławionaś mię, dzy niewiastom, brzmią słowa modlitwy, a i potocznie o kobiecie w ciąży mówi się, że jest w stanie błogosławionym. A przynajmniej mówiło się tak do niedawna...

Tak czy inaczej macierzyństwo zasługuje na opiekę i szacunek. Co do tego zgodna jest opinia i ogółu, i literatury, i sztuk pięknych. Wiele arcydzieł np. malarstwa światowego przedstawia ten temat.

A i my współcześni organizujemy i Dni Matki, i Dni Dziecka i to w skali międzynarodowej.

Dlatego też na tle tego zagadnienia poruszyć trzeba sprawę wiążącą się z pewnym spostrzeżeniem. Chodzi o zatrudnienie kobiet ciężarnych. Oczywiście kobieta pracująca, gdy ma zostać matką, pracuje jak najdłużej, niekiedy aż do ostatniej chwili prawie... Zapewne skoro istnieją ustawy zapewnione macierzyńskie urlopy, no to i